Krew na złotych maskach

Autor: Piotr Grochowski

Nimic vedea cand pastra laterna
– (ces.) Niewiele widzisz, gdy trzymasz pochodnię.

Bądźcie dla mnie łaskawi, o Patroni,
Wy których jest Trzynastu Spętanych w Błogosławieństwie.
Pobłogosławcie mi,
gdy imiona Wasze wypowiadam,
w uświęconym z dawien dawna porządku:

Pierwszym do którego wysyłam swe modły jest Albus, Pan Życia, Patron Zdrowiejących.
Drugim – Vant, Pan Przestworzy.
Trzecią Stea, zarazem Pierwsza ze Świadczących.
Czwartą jest Verdetia – Pani Dzikiej Przyrody.
Piątym jest Protejus, Pan Wojny, opiekun żołnierzy i zwycięstw bitewnych.
Szóstym – Soares, zarazem Drugi ze Świadczących.
Siódmą jest Roza, Patronka Miłości i opiekunka rodziny.
Ósmym – Mar, Pan Urodzaju.
Dziewiątą spośród was jest Semiluna – Trzecia i zarazem ostatnia ze Świadczących.
Dziesiątym jest Galben, Złotodzierżca.
Jedenastym jest Bleuius – Pan Mórz.
Dwunastym – Vremes, Pan Losu.
Trzynastym, i ostatnim zarazem, którego imię sławię, jest Cranius – Pan Dobrej Śmierci.

Wierny Wam będę po kres dni moich,
a dzieci moje wyuczę tak,
by Was wielbiły i składały Wam dary.

Patroni nasi, wszak Legari Lantis,
którymi Pierwszy z Cesarzy dokonał Pierwszego Spętania,
a po nim dwukrotnie jeszcze Spętani zostaliście,
nieprzerwanie oplatał, oplata i oplatać będzie losy nasze.

Oby trwał w nieskończoność z Wami,
przez Was i ku Wam zwrócony – Cesarz,
ten który zdołał Was Spętać,
i niechaj trwają wszystkie jego kolejne wcielenia.

„Pierwsza Modlitwa”
– wyjątek z
Wielkiego Zwoju Trzeciego Spętania.

Prolog

Na dachu pokrytym ciemnorudą dachówką usadowił się ich łucznik – Hamit znad Żółtej Wody. Powiadali o nim, że jest wytrwały, cichy i opanowany. W to ostatnie wielu zdawało się nie wierzyć, gdyż czwarta część jego krwi była orczego pochodzenia.

Dwóch następnych strzelców pilnowało pozycji Hamita. To byli najemnicy, nie tak pewni jak reszta kompanii, ale musieli wystarczyć.

W kamienicy po przeciwnej stronie ulicy, w połowie wschodniej części placu ukryła się czarodziejka, Maecja Dan Caten, ich uzdrowicielka. Strzegł jej jeden z żołnierzy – Gep.

Drugi magik, Kohor z Bentozi, wmieszał się w tłum. Ludzie wymieniający towary na targowisku pochodzili chyba z każdego możliwego zakątka Cesarstwa, a wielu zapewne spoza jego granic, więc ciemny kolor skóry czarodzieja nie wzbudzał szczególnego zainteresowania.

Yarlo, olbrzym w szarej tunice przepasanej ozdobnym skórzanym trokiem, obserwował wydarzenia z bocznej uliczki. Berdysz osadzony na długim trzonku zawinął w kawałek tkaniny. Potężny mężczyzna, porywczy i niezwykle wytrwały w walce, sam stanowił ogromne zagrożenie. Jeśli wziąć dodatkowo pod uwagę jego oręż, szanse przeciwnika spadały do zera. Uparł się, że zostanie na wybranej pozycji sam, czekając na rozwój wypadków.

Ostatnich trzech kompanijnych żołdaków, Parios, Maric i Berto, towarzyszyło De Trivezowi. Pochodzący z Północnego Narbonu szermierz był doświadczonym żołnierzem. Niektórych śmieszyło, że pielęgnacja długich wąsów była dla niego ważna w takim samym stopniu co codzienny trening długim, wąskim mieczem z nezańskiej stali.

Na całym placu targowym przebywali dodatkowo najemnicy, których opłaciła kompania – było ich trzy tuziny. Kręcili się w grupkach, wypatrując kłopotów.

Powinno się udać. Plan, choć przygotowany szybko, zdawał się wystarczający. Iben Guderion poprawił pas z mieczem i starł pot z czoła chustką z delikatnej tkaniny. Powietrze wypełniające tę część miasta zwiastowało popołudniową burzę, było ciężkie i duszne. Ciepły prąd morski niósł je z zachodu aż od Cieśniny Bann Merenge. Chociaż północne dzielnice czasami bywały chłodniejsze, tutaj na Copii Abis, Placu Nad Otchłanią, prawie zawsze panował skwar.

Guderion, choć szczycił się szlachetnym urodzeniem, doskonale znał tę ubogą część miasta. Uważnie wpatrywał się w mozaikę kolorowych straganów. Lustrował wzrokiem kłębiących się ludzi i układał w myślach dziesiątki możliwych scenariuszy. Miejsce, na które patrzył, zostało przemyślanie dobrane. I dawało przewagę przeciwnikom kompanii.

Rynek był olbrzymi i miał nieregularny kształt. Jego cztery ściany tworzyły zabudowy kamienic, piątą kamienny mur, niski i zniszczony przez upływ czasu. Za nim znajdowała się rozpadlina – słynna Abis, która była skalnym kominem o głębokości ponad dwustu sążni[i]. W

dole kotłowały się wody dostające się z północy i północnego zachodu licznymi podziemnymi kanałami i siecią jaskiń. Po dwóch stronach Otchłani ciągnęły się kamienne schody wycięte w litej skale. Za nią znajdowały się dzielnice biedoty nazywane Kieszeniami Nędzarzy. Cała bogata i średnio zamożna Konstanza zbudowana była z kamienia, a jej biedne dzielnice z drewna.

Dziewczyna, tak uważała większa część kompanii, była przetrzymywana właśnie tam, gdzieś pod Zachodnim Grzbietem, gdzie nie docierały cesarskie legiony i gwardia.

Porywacze zażądali połowy okupu zapakowanej w solidne worki i umieszczonej w oślich jukach. Nie chcieli wozu, więc zamierzali zabrać złoto i kosztowności w niedostępne rejony miasta. Iben wietrzył podstęp, ale póki co nie mieli więcej wskazówek. I pozostawało czekać. Aż do południowych dzwonów.

Gdy zabrzmiał ich dźwięk – wyraźny i czysty, bo jedna ze świątyń znajdowała się nieopodal – kompania wzmogła czujność. Do objuczonych pakunkami zwierząt, pilnowanych przez De Triveza i trzech żołnierzy, zbliżył się niepozornie odziany mężczyzna.

„Jest sam i jest opanowany, ani śladu zdenerwowania". Głos należący do Kohora odezwał się w głowie Guderiona. Już wiele razy wcześniej czarodziej nawiązywał z nim mentalny kontakt, ale Iben za każdym razem czuł się nieswojo, zezwalając obcej osobie na wniknięcie do swojej jaźni.

„Obserwuj go i utrzymuj więź z Trivezem", odpowiedział w myślach. „Czekamy na umówiony znak".

Jakby odczytując oczekiwania kompanii, niepozorny mężczyzna wyciągnął przed siebie kawałek szmacianej kukiełki: główkę lalki z żółtymi włosami. I zbliżył się do Triveza, wypowiadając kilka słów.

Kolejne wydarzenia potoczyły się z ogromną szybkością. Iben usłyszał w myślach zaniepokojony głos Kohora. Słowa były niezrozumiałe. Mag szeptał w swoim rodowitym języku. W tym samym momencie w centralnej części placu wybuchła jakaś głośna kłótnia.

De Trivez zerknął w bok i zatoczył się, opierając o jednego z osłów. Niedoszły łącznik, drobny, niepozorny mężczyzna przyciskał się do ciała narbońskiego szermierza, zadając jeden za drugim szybkie pchnięcia solidnym zakrzywionym nożem. Trivez ciężko osunął się na bruk, obficie brocząc krwią, gdy napastnika sięgnęły ciosy Marica i Berto. Wtedy jednak z tłumu wyskoczyła garstka chłopców odzianych w łachmany. Kilku miało kije, a dwóch trzymało w dłoniach kamienie. Rozgorzała krótka walka. Parios próbował opanować przestraszone zwierzęta. Dwaj pozostali żołdacy zdołali zranić łącznika, ale pojawienie się wyrostków dało mu czas na ucieczkę. Potknął się i rzucił między stragany.

Iben był już na dole, z powodzeniem zeskoczył na wóz z sianem ustawiony wcześniej pod balkonem. Pobiegł naokoło, próbując ocenić trasę ucieczki łącznika. W głowie słyszał wyjącego czarodzieja. Coś było straszliwie *nie w porządku*.

Na dachu kamienicy po drugiej stronie placu pojawił się Hamit, naciągając cięciwę mongrellskiego[ii] łuku. Szukał celu. Wypatrzył go i z niebywałą szybkością wypuścił dwie strzały. Iben Guderion uśmiechnął się pod nosem i zmienił trasę biegu.

„Trafił". Znając strzelca bardzo dobrze, miał pewność, że łącznik jest unieszkodliwiony, ale żyje.

Nim wbiegł między stragany, jeszcze raz spojrzał na Hamita, który strzelał teraz cięgiem, mierząc po dachach. Guderion poczuł ucisk w żołądku. W jednej chwili w pierś ćwierć-orka wbiły się dwie czerwonopióre strzały. Kolejna, o czarnych lotkach, trafiła go w ramię. Szlachcic zamarł. Następny pocisk trafił Hamita w głowę. Strzelec przewrócił się, uderzył o dach i spadł między domy.

– Kohor! – Iben Guderion przedzierał się przez tłum, wrzeszcząc. Gdzieś słychać było polecenia wydawane przez dowódcę gwardii. Jakaś kobieta krzyczała rozdzierająco wysokim, piskliwym głosem.

Gdy szlachcic dotarł na miejsce, na mały placyk między owocowymi straganami i towarami sukiennymi, zobaczył łącznika z przestrzelonymi nogami, któremu pomagali wstać dwaj młodzi chłopcy. Wyszarpał miecz z pochwy i warknął:

– Precz, psie syny! – Wskazał na rannego. – Ty opowiesz mi dokładnie...

Nim zdołał dokończyć, spadł na niego cios. Zadźwięczał metal, gdy Iben odruchowo odbił uderzenie ostrza i przeturlał się w bok. Dwóch zamaskowanych mężczyzn w brunatnych tunikach i spodniach szytych na południową modłę obchodziło go z obydwóch stron. W dłoniach trzymali szable.

Między straganami zrobiło się luźniej. Zza delikatnych tkanin rozwieszonych na drewnianych konstrukcjach wyglądali nieliczni ludzie, ciekawi wyniku starcia. Po rannym łączniku i jego pomocnikach nie było już śladu.

Walka nie rozpoczęła się jednak. Spomiędzy stoisk z owocami wypadł ciemnoskóry mag, trzymając się obiema rękami za głowę. Przewrócił się i z przerażeniem rozejrzał dookoła. Zrobiło się dziwnie cicho. Do uszu Guderiona dobiegł wyraźny niski głos:

– Jesteście na mojej ziemi, przeklęci. – Słowa padały w języku cezaryjskim, ale wypowiadane były z brzydkim, plebejskim akcentem. – Śmieliście mnie oszukać? Miało być złoto i błyszczące kamienie...

Mówiący znajdował się za straganem, po lewej stronie Ibena. Szlachcic podbiegł do czarodzieja, cierpiącego i zwiniętego w kłębek na środku placu. Mężczyźni uzbrojeni w szable nie atakowali, tylko krążyli dookoła.

„Gdzie ta cholerna gwardia, gdzie moi najemnicy?".

Ale był tylko tłum, dwóch zbrojnych i odziany w biały lniany strój nieznajomy, który wychylił się zza kotary. Był w średnim wieku. Na policzku miał tatuaż. Wymierzył palcem w maga.

– Próbowałeś mieszać w głowach moim ludziom? Chciałeś przejrzeć mój plan? Proszę bardzo, czytaj! – Dotknął skroni dwoma palcami, ale Kohor nawet na niego nie spojrzał, ślinił się tylko z wyrazem obłędu w oczach. – Cóż, chyba to, co zobaczyłeś i usłyszałeś, lekko cię zaniepokoiło. Bliżej prawdy będzie, jak powiem, że to tobie *namieszało się w głowie*...

Obcy roześmiał się i przeniósł palec wskazujący na Ibena.

– Może wy, panie szlachcic, chcecie dowiedzieć się, cóż ujrzał w swoim umyśle ten biedak? Zawsze wiedziałem, że mężczyznę można całkiem łatwo zatrwożyć, krzywdząc... kobietę. Ale w pierwszej kolejności... – Nieznajomy wykonał szybki ruch lewą, skrytą w obszernym rękawie dłonią. W oczodole Kohora z Bentozi utkwił zdobny trzonek sztyletu. Głową czarodzieja szarpnęło, a ciało przeszyła krótka konwulsja. Guderion przełknął ślinę.

– Nienawidzę, kiedy przestają kontrolować plwociny, szczają pod siebie. – Odziany w biel wydął wargi w grymasie obrzydzenia. – W ogóle te wszystkie „magiczne" dolegliwości są odrażające. Zaraz... wspominałem o kobiecie?

Szlachcic zacisnął szczękę. Mierzył wzrokiem przeciwników, planował i skupiał się.

„Mów dalej. Daj mi czas", syczał w myślach, ale niepokoił się kolejnymi słowami nieznajomego.

– Mój oddany sługa, władający Magią Umysłu, i posiadający zarazem jeszcze kilka innych talentów, jest na swój własny dziwaczny sposób *pobożny*. W tej jakże ślepej wierze niezwykle nienawidzi innych magików, takich jak ten Negr[iii] i ta wasza dziewka. Użył swoich zdolności. To było – mężczyzna szukał słowa – raczej odrażające... i dosyć krwawe. Tak po prawdzie, to nie jest z nią dobrze...

Iben skoczył w prawo i ciął zamaszyście, trafiając pierwszego z wrogów końcem miecza w okolice głowy. Na bruk bryznęła krew, a szlachcic rzucił się na nieznajomego w lnianym odzieniu. Zaatakowany okazał się niezwykle szybki. Zręcznie uniknął pierwszego ciosu, a kolejne cięcie zostało sparowane przez szablę. Guderion starł się z drugim z zamaskowanych zbrojnych. Udało mu się przyprzeć przeciwnika do drewnianej palisady, po czym kopnął go mocno w okolice brzucha. Ten stracił rytm i zwolnił na moment. To wystarczyło. Iben ciął od dołu, odrąbał dłoń zbrojnego i trafił go w szyję. Rozejrzał się. Odziany w biel oddalał się, przeciskając przez ciżbę, więc szlachcic puścił się w pogoń.

Krzyczał i rozdawał ciosy głownią miecza, odpychał stających mu na drodze i roztrącał przeszkody. Ale z każdym krokiem zdawał sobie sprawę, że tłum wokół niego gęstnieje. Otaczali go ludzie o twarzach wykrzywionych niechęcią i wściekłością. Kilku plunęło w jego kierunku. Potem wyciągnęli ku niemu dłonie. Szybko stało się jasne, że miecz jest nieprzydatny. Zresztą w następnej chwili wyrwano mu broń z dłoni. Szarpał się, kopał, sięgnął po sztylet zawieszony u pasa. Ale wtedy właśnie pochwycili go za ramiona i nogi, a ktoś zarzucił mu na szyję kawałek grubego sznura. Szarpnięciem obalili go na ziemię, wykrzykując przekleństwa. Poczuł kopniaki. Mrowie ludzi zamknęło się nad nim, gdy nagle z dali usłyszał niewyraźnie stanowczy niski głos.

„Odziany w biel”.

Mężczyzna przedarł się przez tłum i spojrzał Ibenowi Guderionowi w twarz, wydał kilka poleceń. Szlachcica podniesiono i odarto z odzieży. Motłoch niósł go na dziesiątkach rąk. Sznur zaciskano mocno, więc szlachcic zaczął tracić świadomość. Nigdzie nie widać było gwardzistów ani cesarskich żołnierzy. Zobaczył za to swoich ludzi, przerażonych i błagających o litość. Przy jednym z kramów trzech zamaskowanych mężczyzn podrzynało gardło Marica. Drgające ciało rzucono zaraz na inne, leżące w pyle i kałuży krwi. To chyba były zwłoki Berto. Ludzie odziani jak nędzarze trzymali też za ręce kilku wyzutych z kubraków najmitów, którym płaciła kompania. Ich los też wydawał się przesądzony.

Świat stał się dla Ibena pozbawionym barw, a kontury rozmywały się. Wydało mu się, że gdzieś obok widzi ciało potężnego mężczyzny wleczone po bruku i pyle. Zwłoki zostawiały za sobą krwawy ślad.

„Yarlo? Czy to ty, stary druhu?”.

Zdawało się, jakby tłuszcza opanowała całe targowisko, a pospólstwem dowodził ów mężczyzna odziany w białe lniane szaty. Guderion odszukał go wzrokiem, podczas gdy tłum zatrzymał się. Nieznajomy w bieli mówił:

– ...będzie kres ich władzy, ich monet, ich zdobnych szat, ich arrasów i łodzi o kolorowych żaglach. Nadejdzie czas drewna i kamienia. I zimnej stali. – Iben dojrzał palec skierowany w jego stronę. – Wysyłają tu takich oto szlachetnie porodzonych, bezbożnych, gardzących naszym kultem. Noszą godła Trzynastu? Mówię wam, że to *szlachectwo* z kurestwa się bierze, a *ich* wiara nic wspólnego nie ma z naszymi Patronami.

Gawiedź zawyła, w prymitywny sposób potwierdzając zasłyszane słowa. Nieznajomy przemawiał nadal:

– Dali nam domy na litej skale, byśmy cierpieli chłód Północnego Morza, gdy oni siedzą w swych ciepłych ogrodach i jedzą owoce zebrane z żyznej gleby. Dali nam jako towarzyszkę Otchłań. – Umilkł, by zaraz dodać ciszej: – My jednak nie przeklinamy swojego losu i bierzemy, co nam należne, a naszej Towarzyszce, pięknej Abis, takich jak oni składamy w ofierze.

Szlachcic nie zdołał już nic wyrzec, a przywódca tłumu wykonał gest. Ibena Guderiona podniesiono i mocą wielu ramion ciśnięto w powietrze. Nad sobą dojrzał czyste, błękitne niebo. Zaraz jednak, gdy jego ciało obróciło się w locie, zobaczył kamienice, krzyczącą i śmiejącą się masę nędzarzy i kamienny mur. Czuł wiatr na twarzy, gdy spadał coraz szybciej. Na koniec, nim uderzył ciałem o wzburzone fale, zobaczył Otchłań. Jej skaliste, przerażające *piękno*, wysokie ściany i ciemną kipiel. I w tej ostatniej chwili swojego żywota kołatała mu w głowie jedna myśl, dręczyło go pytanie:

„Kto wydał nas na śmierć?”.

I – Wyroki Losu

Baltaro Molenaar otworzył okiennice i wpuścił do pomieszczenia świeże powietrze. Było chłodne, rześkie i pachniało morzem. Starszy mężczyzna zamknął oczy i oparł się rękoma o gruby parapet. Gdy uniósł powieki, westchnął i uśmiechnął się. Lubił te chwile. Wyglądała o poranku tak samo przez te wszystkie lata. Widok, tak dobrze mu znany, przywodził na myśl jedno słowo – spokój.

Zawsze myślał i mówił o Niej jak o swojej kobiecie. Jego przyjaciele twierdzili wręcz, że kochał to miasto mocniej, niż każdą ze swoich trzech małżonek. Jego pierwsza żona, zmarła młodo, nim poznała tajemnice, dobre i złe miejsca Konstanzy. Dwie kolejne potrafiły, jak sam Baltaro, docenić piękno miasta. Dla ostatniej, pochodzącej z dalekiego Vinantium – Elii, zbudował dwie najwyższe kondygnacje ich karczmy, by z okien mogła oglądać panoramę Miasta na Wyspach. Piękna półkrwi Surenejka[iv] nigdy wcześniej nie zaznała takiego widoku. Baltaro spędził w Konstanzie całe swoje życie, a każdy jej zakątek, wyspę, czy kanał znał doskonale, lub przynajmniej dosyć dobrze.

Powiódł wzrokiem w dół, gdzie Avereos, Wyspa Dobrobytu, tętniła już targowym życiem, zapełniając ulice tłumem kupujących i tych, którzy oferowali swoje towary. Zaraz potem spojrzał na północny zachód, ku centralnej części miasta, gdzie mieszkańcy Grimei i Famis, dopiero witali dzień. Dzwony wzywały na poranne modły, a ich natężenie rosło. Wkrótce dały się słyszeć także niskie tony świątynnych trąb i rogów. Najsilniejszy dźwięk dobiegał z kapłańskiej części Imparei, Wyspy Cesarskiej. Potężna Świątynia Trzynastu Kamieni, z majestatycznymi wieżami modlitewnymi, była mniejsza niż wznoszący się obok kompleks cesarskiego zamku. Jego wysokie mury, wyłaniające się wprost z wód Wewnętrznego Morza, pokryte były gigantycznymi malowidłami i płaskorzeźbami. Pobożni mieszkańcy stolicy wierzyli, że zaklęto w nich antyczną magię ochronną, która po dziś dzień strzegła miasta przed niebezpieczeństwami, tymi sprowadzanymi przez ludzi i tymi, które mogli zesłać bogowie. Na tle murów, ledwie wystając nad wzburzone po porannym sztormie fale, widniała Wyspa Czaszek, zarządzana przez zakon Craniunitów. Na ten płaski kawałek skały mówiono: Cimitiros.

Na wschodzie widać było liczne, pokryte lasami wyspy, te bliżej poświęcone były Niebu: Gwiazdom, Słońcu i Półksiężycowi, i mówiono o nich Cer. Te dalej, ledwie dostrzegalne przez mgłę, nazywano Wyspami Błękitnymi.

Niebo było dziś zasnute nisko zawieszonymi chmurami, więc wzrok Baltaro nie sięgał zbyt daleko, ale w pogodny, słoneczny dzień, za cesarskimi murami można było ujrzeć gęsto zaludnioną Pamos, o której mówiono Wyspa Piasku, oraz Insulo-Planto, Wyspę Ogrodów. Jeszcze dalej, zupełnie na północy, leżała skalista, praktycznie pozbawiona mieszkańców,

wyspa Ascu-Nord. Stacjonowali tam wyłącznie żołnierze garnizonu Północnej Twierdzy. Co do twierdz i czatowni, było ich w Konstanzie sporo, a część z nich pełniła także funkcje wież sygnalizacyjnych i latarni.

Zgiełk dobiegający z dołu budynku wyrwał mężczyznę z zamyślenia. Jego poranna „podróż po mieście" dobiegła końca. Skrzywił się i ruszył schodami w dół.

Zajazd prowadzony przez rodzinę Molenaarów znajdował się przy Złotej Ulicy, na szlaku do Wielkiego Południowego Mostu, więc ruch był ogromny. Nawet tak wcześnie, o poranku, ciżba przeciskała się między wozami i zaprzęgami, aby dotrzeć na stragany, do portu lub po miskę strawy. Wielu twierdziło, że wzorem miast południowych Konstanza nigdy nie zasypiała.

Baltaro nie mógł narzekać, tłum dostarczał srebrników i złociszy. Wszyscy odwiedzający jego przybytek byli mile widziani: przyjezdni kupcy, zabłąkani marynarze, zamyśleni mnisi, minstrele, trupy aktorskie w barwnych strojach, żacy przybywający z południowego portu, żołnierze i awanturnicy. Zwłaszcza ci ostatni, bardzo często, ceniąc własną prywatność płacili sowicie za ustronne miejsce do odpoczynku i za niezadawanie pytań.

„Ot, choćby ten młody szlachcic". Karczmarz krzątał się już za kontuarem i doglądając swoich pracowników odnalazł wzrokiem dobrze znaną sylwetkę, pochyloną nad miską z żarciem. „Jak nic, poszukiwacz przygód. Niektórzy mówią na takich: poszukiwacze kłopotów. Mieszkał tutaj, wraz z towarzyszami, od jakichś trzydziestu dni. Długo, jak na awanturnika, bo tacy zwykle zostają na chwilę i ruszają dalej. Ten, płaci srebrem i z całą pewnością planuje swoje dalsze przygody. I nic mi do tego, póki płaci".

Wycierając kufle wykonane z grubego, przydymionego szkła, które na bieżąco dostarczał z izby kuchennej jego najmłodszy syn, Baltaro przymknął oczy próbując przypomnieć sobie więcej.

„Będą ze trzy tygodnie[v], jak szlachcic zajrzał tutaj po raz pierwszy, a razem z nim szczupły, brodaty żartowniś, z twarzą przeoraną paskudną blizną. Ukrywał to, ale znać było od razu, że ma w sobie coś z przeklętego shaeida. Pamiętam, że nie spodobał mi się od początku, niby taki trefniś, lekkoduch, ale ucha nadstawiał, wracał poranną porą z dziwnych spotkań i schadzek. I obdarzał promiennym uśmiechem Julanę. Moją Julanę, co niespełna piętnaście wiosen żyje na tym padole. Kurwi syn".

Molenaar sapnął i odegnał od siebie złość.

„Mieszkał ze szlachcicem, i sporo czasu spędzał w biesiadnej izbie krasnolud, na którego wołali Ziggo. Ten był szczery, jak to karły bywają, wulgarny i prostolinijny. Ale znać po nim było od razu, że nie jeden orczy łeb ściął, i nie jedną bitwę przeżył". Karczmarz uśmiechnął się pod nosem. „Ten wesołek ze szramą na pysku wspomniał kiedyś, że to orkowie usiekli krasnoludzką brodę, co prawie wywołało awanturę. Istotnie, krasnal niewiele włosia miał na twarzy, znaczy się opowiastka mogła mieć w sobie sporo prawdy".

„Hmm. Jest jeszcze ten potężny mnich, albo kapłan. Ale niektórzy szeptali, że może i magik jakiś. Gada, jakby z Północy pochodził, twardo. I w sumie, może kilka dni spędził pod naszym dachem, ale rycerz płacił za niego pełną wartość. No i grubas. Nie wyglądał na zbrojnego, raczej na handlarza. Też uważnie rozglądał się dookoła, jak ten cholerny wesołek, też szpiegował… Ot, cała drużyna".

Julana pojawiła się właśnie na zapleczu, słychać było jej śliczny głos. Stary Baltaro Molenaar podziękował w myślach Trzynastu:

„Szczególnie ty, Galbenie[vi], daj mi siłę, bym pracą nadal złoto pomnażał, aby ani jej, ani reszcie moich dzieci nigdy niczego nie brakło, a ty Rozo[vii], strzeż naszej rodziny. Ty zaś Vremesie[viii], traktuj nas pobłażliwie, by zbyt lekko, ale też i zbyt trudno nam w życiu nie było. Ja zaś ofiarami swoimi będę was sławił". Mężczyzna wychodząc z głównej izby spojrzał jeszcze na posilającego się szlachcica. „Daj także i jemu, i jego towarzyszom, Panie Losu pociechę, bo to może i cholernicy, i magowie, i proste krasnoludy, ale coś mi podpowiada, że to jakieś Dobro za tą drużyną przestaje".

***

Co najmniej jeden z Trzynastu Spętanych w Błogosławieństwie[ix] od czasu do czasu bywał złośliwy. By nie rzec: okrutny w swej złośliwości.

Kapłani z przyświątynnej szkoły, do której oddano młodego Ragnara, powtarzali często przypowieść ze Zwojów Vremesa. Młody wojownik, dobrze zapowiadający się na giermka, zapamiętał obszerne fragmenty. Stało tam:

„Deszczu się nie bójcie, wystrzegajcie się wiatru. Krople deszczu, choć uciążliwe i zimne, mogą, co najwyżej spowodować, iż odzienie wasze przemoknie i stanie się szorstkie w dotyku. Ale zziębniętego człowieka ogrzeje słońce, a szata wyschnie. Podmuch wiatru, inaczej. Jest niebezpieczny. Człowiek może być, a często się to przydarza, jak samotne drzewo. Wiatr w najmniej spodziewanej chwili potrafi nagiąć je w dowolną stronę. Może także złamać jego konary, a nawet pień".

Niby, jak prawili kapłani, za wiatr i niepogodę odpowiadał Spętany zwany Vantem[x], którego czcili marynarze i samotni podróżni. Ale to Vremes, Pan Losu, zsyłał na kompanię pod wodzą szlachcica, burze i wichury. Potrafił także sprowadzić pojedynczy, śmiertelnie niebezpieczny podmuch.

Ragnar ze Svero siedział teraz w porządnym zajeździe, nad niedojedzonym serem i chlebem skropionym oliwą. Jego myśli krążyły dookoła Trzynastu, powracał wspomnieniami do odległych czasów młodości, ale i do wydarzeń, które miały miejsce zaledwie dziesięć dni temu.

Wtedy to udało się nareszcie, po wielu dniach prób i próśb, ugadać spotkanie z przedstawicielami kupieckich rodzin. Jeremiasz Galbo zabrał do Dzielnicy Sukiennej Ragnara

i Ziggo Bragga, który za nic nie chciał przegapić spotkania w interesach. Krasnolud wspominał coś o „zabawnych dusigroszach", z których należy właśnie owe „grosze wydusić". Ależ się „uśmiał" ze swojego żartu, pod koniec dnia.

Pomniejsze rodziny, wspierane przez jednego z rządców Domu Metzerów ufundowały nagrodę za zlikwidowanie problemu na szlaku do Pogórza. Czarnoksiężnik został unicestwiony, lecz wypłata należności ciągle oddalała się w czasie. W końcu, nastała ta chwila.

W Izbie Kupieckiej panowała podniosła atmosfera. Wielu ludzi zeszło się, aby zobaczyć pogromców Czarnego Maga z Ringen. Pełno było gapiów odzianych w szare kubraki. Sporo było także przedstawicieli braci kupieckiej – ci nosili się na kolorowo.

Do Ragnara zbliżyła się grupa możnych w zdobnych wamsach, na które narzucono rycerskie szaty. Na piersiach dumnie prezentowały się herby, na szyjach połyskiwały łańcuchy.

Na przedzie szedł starszy szlachcic ze znakami Trzynastu – rycerz zakonny z imponującą brodą. Sztywno skłonił się, pogratulował sukcesu misji i przedstawił jako Hagerland de Gea. Zabrzmiało znajomo, ale początkowo, nazwisko nic Ragnarowi nie mówiło. „Podmuch wiatru" miał nadejść dopiero w wewnętrznej sali.

Trzej przedstawiciele rodzin, służący i kilku strażników, suto zastawiony stół – nic nie zapowiadało problemów. Jeremiasz Galbo wyraźnie zdziwił się, gdy do izby zaproszono także trzech rycerzy zakonnych. Rag poczuł niepokój. Ziggo Bragg ogryzał nogę gigantycznej gęsi.

Po dłuższej chwili kurtuazji i wymianie wzajemnych uprzejmości, kupcy przeszli do formalności. Potwierdzono, po raz kolejny, prawdziwość opowieści o zagładzie czarnoksiężnika. Nim jednak rozpoczęto spisywanie umowy, która miała zatwierdzić wypłatę nagrody, głos zabrał Hagerland de Gea.

Starzec mówił sporo, sławiąc i komplementując działania drużyny. Gdy doszedł do sedna przemowy, Rag już wiedział skąd zna rycerskie nazwisko. Niepokój narastał.

– Mając na uwadze olbrzymie poświęcenie i odwagę nordyjskiego rycerza, oraz fakt, iż walczył z przerażającym sługą Mroku – głos de Gea był niski i wywoływał znużenie – prosiłem władze Świątyni o specjalną nagrodę dlań. Jeśli tylko uzna, przed samym sobą, iż godzien jest, może rozpocząć natychmiast starania o przywdzianie szat rycerza zakonnego, co prowadzi prostą drogą do służby inkwizytora. Syn mój, pełniący tę zaszczytną służbę – i tu głos załamał mu się na ułamek sekundy – Tyrmand, bestialsko zabity przez czarnoksiężnika, został przez Ragnara ze Svero pomszczony.

Krasnolud uśmiechnął się szeroko, zapijając kolejny kęs pucharem wina. Ale chwilę później mina mu zrzedła, bo stary szlachcic dodał:

– Oczywistym jest fakt, iż nagrodę, w imieniu przyszłego inkwizytora, Świątynia Trzynastu przeznacza na rozdanie ofiarom Zła i Mroku. Tacy cni rycerze, jak my, sługusów Cienia niszczymy dla chwały, nie dla złota. – Bragg bezgłośnie łapał powietrze, Jeremiasz Galbo zbladł, a Ragnar zakrył twarz dłonią, za to kupcy westchnęli z ulgą, gdy mówiący

zwrócił się do nich. – Należność przekażcie na rzecz służby świątynnej, w dowolnej formie i w dowolnym miejscu. Niech będzie godna Trzynastu!

Zaprawdę, Vremes bywał złośliwy.

Po czasie równym trzem uderzeniom serca, wszyscy zgromadzeni w sali wewnętrznej, na korytarzach, i zapewne także na ulicy, usłyszeli serię przerażających i oryginalnych zarazem, krasnoludzkich przekleństw.

***

Z krasnoludzką mową jest tak, że ludzie używający jej korzystają właściwie tylko z dwóch grup słów. Pierwsza to wyrażenia techniczne: kamieniarski żargon, nazwy broni lub rynsztunku, i fachowe słownictwo związane z prowadzeniem krasnoludzkiej bankowości. Drugą grupę tworzą przekleństwa. Mawia się, że każde najpodlejsze wyrażenie trafiło na ten świat, za pierwszym razem wypadając z ust tych niskich wzrostem i siermiężnych obyczajami istot.

Mężczyźni siedzący przy stoliku pojęli ogólny sens usłyszanej kombinacji. Kończyła się słowami „rzyć" i „rżnąć" i odnosiła się do „jakiejś grupy ludzi". Moment później stało się jasne, o kim była mowa.

– Ale tak, żeby całemu szlachetnie porodzonemu gatunkowi rycerskiemu aż w głowach się wyprostowało – Ziggo Bragg dokończył w cezaryjskim, splunął i zatrzymał wzrok na Ragnarze ze Svero. – Znaczy się z całym szacunkiem dla twojej rycerskości, ale sam wiesz...

Nordyjski szlachcic nie raczył skomentować, za to Koryntiasz zwany Szramą, skrzywił się i kiwnął głową, mówiąc:

– Ciekawy dobór słownictwa. Talent czystej wody, panie Bragg. Baczcie, by go nie zmarnować. Co wy jeszcze robicie w naszej kompanii? W cesarskim teatrze spróbujcież, więcej zarobicie. I konkurencyjnych trefnisiów samym wyglądem zniechęcicie do rywalizacji.

– Gębę zawrzyj, komediancie.

– Zdaje się, że nadal cię nie lubi – mruknął tęgi mężczyzna podchodząc do stołu. Ubrany był w brunatny kubrak, przyozdobiony czerwonymi nićmi. Powiódł wzrokiem po siedzących i dodał: – Dość wściekania się, ponurych myśli i przeklinania bogów. Mam możliwość, dzięki której ruszymy do przodu.

– Sławcie Trzynastu, panie Galbo. Nikt ich tutaj, ani żadnych innych bóstw nie wyklina. Ale człowiek z natury bywa słabym i ciągłe niepowodzenia mogą go, rzeczywiście, poważnie smucić. – Ragnar podał rękę przybyłemu. – Prawcie.

Jeremiasz Galbo przywitał się z pozostałymi, zgrabnie chwycił stojący na stole kubek i podstawił go nalewającemu wina Koryntiaszowi, jednocześnie mówiąc:

– Jak dobrze pamiętam, i, ku chwale Galbena, umiejętnie kalkulując… – Uśmiechnął się w kierunku rycerza. – Potrzebujemy czterech tysięcy w złocie, jeśli założymy, że nie liczymy żadnego ze sprzedanych przedmiotów.

Rag potaknął, a Szramie, szykującemu się do zabrania głosu, wzrokiem nakazał milczenie.

– I dalsze trzy, dwa, co najmniej, jeśli założymy, że chłopaka nie ma blisko, i będzie trzeba skorzystać z magicznego transportu.

– I jak tu nie złorzeczyć – krasnolud mruczał w głębi brody, ale wyraźnie i głośno. – Tyle byśmy dostali od kupców za czarownika.

– Czarnoksiężnika. – Galbo skrzywił się. – Nagroda mogła nie być tak wysoka, była mowa o…

–I tak, tych pieniędzy już na oczy nie zobaczymy – przerwał mu Ragnar i spojrzał na krasnoluda. – Też zgrzeszyłem w myślach z setkę razy, panie Bragg, i prawie że w uczynku, jak usłyszałem, co się stanie z nagrodą. Ale nikogo nie obchodzi, na co zamierzaliśmy ją wydać. A wasz grzech, ten w mowie, mógł was kosztować życie.

– Oj, zabrałbym kilku ze sobą. – Ziggo Bragg uśmiechnął się paskudnie, ale zaraz znów zmarkotniał. – Teraz, po tym, co zrobił ten nawiedzony rycerz, raczej mi dalej do nawrócenia na waszą wiarę.

– Aa, bo to było bliżej – zaśmiał się Koryntiasz.

Krasnolud nie odpowiedział i wymownie spojrzał na Galbo. Ten zaczekał jeszcze moment i dokończył:

– Możemy zarobić okrągłe osiem tysięcy, w złocie lub w kamieniach. Trzeba wydostać ofiarę uprowadzenia. Tutaj, w Konstanzie. I, liczy się czas.

Zapadła cisza.

– Płaci jeden z wysoko postawionych Popperów. Sprawa jest pewna, zaliczkę mogę pobrać jeszcze dziś. Na gwałt potrzebują szybkich i sprawnych ludzi. Sprawa jest także utajniona, bo porwaną jest dziewczyna z rodziny. Gdyby się to rozniosło, ich interesy mogłyby się poważnie skomplikować.

– Osiem to dużo. Bardzo dużo – rzucił Szrama, nerwowo zagryzając pajdę chleba.

– Ich poprzednia drużyna nie sprawdziła się. Vremes w swojej najokrutniejszej postaci „siedzi kupcom na karku". Kręcili nosem, że „mamy za mało ludzi", ale chyba stoją w martwym punkcie, i nawet nie targowałem się zbytnio.

Ragnar przebiegł wzrokiem od Koryntiasza do krasnoluda.

– Wiemy doskonale, po co robimy to, co robimy. Omawialiśmy to nie raz. Minęło już tak wiele dni, ale wciąż ufam, że nie jest za późno. Gdybyśmy nie byli gotowi, nie siedzielibyśmy w stolicy. Wchodzimy.

Na to słowo czekał Jeremiasz Galbo. Odwrócił się i skinął dłonią na chłopca odzianego w lniane spodnie i skórzaną kamizelkę. Ten podbiegł i nadstawił ucho. Mężczyzna szepnął

kilka słów i wręczył mu złotą monetę, przebitą w środku. Przez pieniążek przewleczony był rzemyk. Chłopiec odwrócił się i zręcznie wmieszał się w tłum.

***

– Ktoś gra naszym losem partyjkę w kości, z demonami – Koryntiasz Szrama szeptał do ucha Ragnara – i niby nie po drodze mi do świątyni, ale coś mi się widzi, że to Vremes.

Rycerz nie odpowiedział, bacznie obserwując ruch statków na wodach zatoki, zwanej Wewnętrznym Morzem. Słońce chyliło się ku zachodowi, a na portowych nadbrzeżach kłębiły się tysiące tragarzy, marynarzy i handlowców.

– No, bo jak określić tę naszą sposobność na zdobycie pieniędzy? Ratujemy dziewczynę, żeby znaleźć naszego chłopaka… O! To jak sądzę oni.

Szrama wskazał na zbliżającą się dwójkę ludzi. Wysoki, postawny mężczyzna szedł miękko, o udo obijała mu się pochwa długiego miecza, ale wprawny obserwator oceniłby, że z wojaczką miał niezbyt wiele wspólnego. Po jego lewej stronie szła kobieta, odziana na czarno, koniuszki drogiego płaszcza brudziła o portowy bruk. Na pierwszy rzut oka nie nosiła broni.

Ragnar i Koryntiasz czekali na przybyłych w podcieniu. Stara portowa kamienica mieściła w wyższych kondygnacjach pokoje na wynajem. Na parterze urządzono, między innymi, składzik towarowy. Dziś był nieczynny. Galbo wraz z zaliczką otrzymał klucz do drzwi.

Rycerz skinął głową na powitanie i zaprosił dwoje nieznajomych do środka. Koryntiasz bacznie rozglądał się dookoła. Wszedł ostatni i zatrzasnął odrzwia.

– Poczęstujcie się. Polecam z czystym sercem. Przedni trunek, w sam raz na tę duchotę. Zwą mnie Galbo. Jeremiasz Galbo. – Handlarz rozlewał wino do kubków. – A to Ragnar, szlachetnie urodzony pan ze Svero. Drzwi strzeże Koryntiasz, nasz łucznik.

Postawny mężczyzna przyjrzał się rycerzowi i sięgnął po kubek. W tym czasie kobieta zsunęła z głowy chustkę chroniącą przed miejskim pyłem. Przeczesała dłonią czarne włosy. Mężczyzna upił łyk.

– Moje imię nic wam nie powie, ale możecie zwracać się do mnie: Tertio. Reprezentuję pana Poppera. Mam wszelkie potrzebne informacje. Chciałbym żebyście zaczęli od razu. I życzeniem mojego mocodawcy jest, byście przyjęli pomoc od tej oto niewiasty. Panno Elbaz?

Kobieta rozciągnęła wargi w uśmiechu i odezwała się cicho:

– Pan Popper zwracał uwagę na małą liczebność waszej grupy…

– Niczego nam nie brakuje, czy też nikogo – przerwał jej Galbo – jak wspominałem zawczasu. Ale… przy odpowiednim układzie możemy pomyśleć o współpracy, jak sądzę?

Ragnar poczuł na sobie pytający wzrok.

– Jak jaśnie panna mogłaby nam pomóc? – Szlachcic przyglądał się kobiecie.

– Wiedzą tajemną i dobrą znajomością miasta. Jestem Niyah Elbaz z Yel. I nie jestem szlachetnie urodzona, panie.

– Yel, czyli Sahil Yel, Burzowe Wybrzeże Lothanu – mruknął z zadowoleniem Jeremiasz. – To dobre miejsce pochodzenia, jak idzie o uczonych w czarodziejskiej sztuce. Z dala od cesarskiej niechęci i kultu Trzynastu.

Ragnar uśmiechnął się na myśl o tym. Cesarz nadal utrzymywał w mocy zakaz, a każda drużyna, czy też najemna kompania działająca na cesarskich ziemiach, miała w swoich szeregach czarodziei. Lothańskie włości leżały za Żelaznymi Górami. Otwarcie praktykowano tam magię.

– Oczywiście, pan Popper płaci pani czarodziejce z osobna? – upewnił się Galbo.

– Tak zostało ustalone. – Tertio zniecierpliwił się widać. – Im szybciej zaczniecie tym lepiej. Zabrana panienka ma na imię Gratia, ma skończone jedenaście lat, jasną cerę i kasztanowe włosy. Znamię na jej lewym ramieniu przypomina dwa źdźbła trawy. Jest delikatna i od trzech dni i nocy przebywa z dala od rodziny. Niech Trzynastu ma ją w opiece.

– Zwłaszcza Pan Losu. – Szrama pokiwał głową i rzucił wymowne spojrzenie rycerzowi.

– Tak. Ale nie po modły tu przyszliście, panie. – Galbo sapnął, wyjął dwie karty pergaminu z tuby leżącej na stole i przeglądając je zaczął wymieniać: – Musimy obejrzeć miejsce uprowadzenia, wypytać ostatnią osobę, która widziała panienkę, chcemy znać też wszystkich z jej otoczenia, sposób kontaktu z porywaczami byłby istotny, a wasze domniemania zapewne mi zaraz przekażecie.

– Mam wszystko spisane i dobrze spamiętane.

– Idealnie. I jeszcze jedno – handlarz zawiesił głos – ta kompania, co to już dla was nie pracuje… Musimy wiedzieć wszystko.

– To była drużyna niejakiego Guderiona…

– Ibena Guderiona? – Koryntiasz pokręcił głową z niedowierzaniem. – Jakie licho sprawiło, że się ich pozbyliście?

– Nie mamy pojęcia, co się stało z samym Guderionem, i jakie „licho” z tym miało związek, ale głowy kilku jego ludzi dostaliśmy jako smutny, makabryczny „prezent”. Jakiś nieświadomy ładunku kupiec dostarczył je dzisiaj z rana.

Koryntiasz Szrama był zszokowany.

– Guderion zebrał w ostatnich latach najlepszych ludzi, każdego doskonale znającego się na robocie. Zwykle działał poza stolicą, ale na pewno zadbał także o własne bezpieczeństwo w mieście. Coś tu cholernie nie pasuje.

Po chwili ciszy Galbo mruknął:

– Taka robota, takie czasy. Guderion może i był dobry w swoim fachu, ale już wypadł z gry. Mówcie, panie znawco, co ustaliliście do tej pory, a my dołożymy wszelakich starań, by dziecko trafiło do domu.

II – Goniąc widmo

Z wieży roztaczał się widok na okoliczne wille, wiszące ogrody i bielone mury. Ragnar sięgnął do sakwy i dotknął dłonią zdobionej lunety. Uśmiechnął się i powędrował myślami wiele dni wstecz. Dziś miał powody do satysfakcji. Nie był biegły w ocenie przydatności czarodziejskich przedmiotów, ale tamtym razem przeczucie podpowiadało mu, że niektórych zdobyczy nie powinni się pozbywać.

Z samotni ringeńskiego czarnoksiężnika wynieśli sporo złota i kilka szkatuł wypełnionych drogocennymi kamieniami. Znaleźli pokaźny zapas eliksirów. Sporo było tkanin i szat, które dało się zabrać, bo nie ważyły zbyt wiele, a okazały się cenne.

Prawdziwym *wynagrodzeniem*, jak to bywało w takich sytuacjach były jednak magiczne przedmioty, o kilku z nich dało się nawet powiedzieć – potężne artefakty. Upadły mag zgromadził ich sporo, a być może część jego zbiorów pozostała w ukryciu. Drużyna zbierała się z wyspy na moczarach dosyć pospiesznie. Jeszcze długo poszukiwacze niezwykłych, zakazanych skarbów zapuszczać się będą w tamte okolice, w nadziei na niezwykłe zdobycze.

W posiadaniu czarnoksiężnika, który mówił o sobie: Ma-Kramma, znajdowały się dwie magiczne kule, kościana różdżka, trzy wisiory wykonane z kamieni, kilka pierścieni i czarnoksięskie księgi. Te ostatnie były ciężkie i trudne do przetransportowania, zresztą rycerz, biorąc pod uwagę opinię Paulusa, ocenił je jako mroczne pisma, i postanowił je spalić. Prawdopodobnie mogły posłużyć tylko plugawym celom.

Do czarnoksięskich skarbów należało doliczyć jeszcze dwa przedmioty, a będąc bardziej szczegółowym – trzy: tajemniczy amulet i lunetę należące do porywacza noszącego się na czarno oraz ramię owego złoczyńcy, które zostało mu oderwane w wyniku działania magii, gdy próbował skorzystać z czarodziejskiego portalu. Ramię na pierwszy rzut oka zdawało się tylko przerażająco okaleczonym kawałkiem ludzkiego ciała. Jakież było zdumienie wszystkich, gdy okazało się, że poprzez reakcję z portalem nabrało dziwnych właściwości. Postanowili więc zabrać je ze sobą. Jak miało się później okazać, było to dobrym pomysłem – dało cień szansy na odnalezienie zaginionego chłopaka, adepta sztuki magicznej: Gaspara Vittela.

Wizyta w ukrytym w podziemiach rozległej kamienicy lombardzie była niezwykłym przeżyciem. Prowadził go niejaki Gelien Vos, człowiek znający się doskonale na interesach, sam nieposiadający czarodziejskich mocy, ale dobrze obeznany w owej materii. Jego współpracownikami byli trzej bracia Theallet. Pochodzili z jakiegoś odległego miejsca na południowym wschodzie. Każdy z nich był magiem, a sztukę identyfikowania mocy

tajemnych, zawartych w artefaktach, opanowali do perfekcji. Wycenę magicznych przedmiotów też traktowali jako sprawę bardzo istotną. Fachowcy.

Magiczne kule służyły do przekazywania wieści na odległość, ale pochodziły z czasów starożytnych, więc były nieprzydatne, chociaż suma za ich sprzedaż, z uwagi na wiek, była znaczna. Wisiorki były ciekawe: dwa pełniły funkcję magicznych zbiorników na energię, z odpowiednimi specyfikacjami, trzeci umożliwiał wzmocnienie kontroli nad orczymi bandami. Zostały sprzedane szybko i w rozsądny sposób. Pierścienie wspomagały zaklęcia Czarnej Magii, służyły także do wpisywania weń odrażających czarów. Nie były wysoko wycenione, z uwagi na swój charakter – niewiele osób w cywilizowanym świecie kupiłoby je ot tak, a lombard Vosa, jak utrzymywał właściciel, nie zajmował się zaopatrywaniem odszczepieńców i magowskich renegatów. Vos brzmiał w tej kwestii dosyć przekonująco, ale Ragnar chciał znać szczegóły:

– Co stanie się z przedmiotami, przecież nie mają dla waszych klientów żadnej wartości?

– Nie do końca. – Vos zamyślił się. – Może się okazać, że poza Czarną Magią mogą współdziałać z jakąś jej szarą odmianą, Sztuką Esencji choćby…

Na co jeden z czarodziejskich braci, wysoki Tarun Theallet przytaknął.

– A jeśli nie? – Ragnar chciał być pewien.

– Wtedy pozostaje oddać je do Świątyni Trzynastu. – Widząc, że rycerz zmarszczył brwi handlarz kontynuował: – Wsadzamy przedmioty do porządnej sakwy, rzucamy złotą monetę ulicznemu posługaczowi, pewnemu, lecz niezbyt rozgarniętemu, co by mu do głowy nie przyszło zaglądnąć do pakunku, i posyłamy go na Impareę. W Zaułku Inkwizytorów porzuca swój ładunek, a kapłani czynią resztę. Modły, egzorcyzmy, a na sam koniec zniszczenie w świętym ogniu, lub coś podobnego.

– A posługacz?

– Jeśli jest spryciarzem, ujdzie cało, niezauważony. Jeśli będzie miał mniej szczęścia, to czeka go przesłuchanie, nauki świątynne, biczowanie i wypędzanie złych duchów. Wierzącym to nawet dobrze robi, ponoć.

– Za takie, mało istotne przedmioty, nie karzą śmiercią, jeśli to was ciekawi, panie szlachcicu. – Biyan Theallet, niższy z braci magów, kręcił głową.

Rag nie był pewien, czy dobrze robi, ale oddał wisiorki, zgarniając za nie kilka *marnych* złotych monet.

W kwestii kościanej różdżki zrobiło się ciekawie, a nawet intrygująco. Identyfikacja trwała długo, ponad sześć godzin. Bracia wydawali się poruszeni, ale okazali się fachowcami i po opanowaniu emocji zawyrokowali: pradawny przedmiot pochodzący z odległego południa, zawierający dziwne połączenie Dzikiej Magii i antycznej, nienazwanej Sztuki, prawdopodobnie umożliwiający zaglądanie w przyszłość. Rarytas, tyle, że przeklęty. Używający go czarodziej musiał *ofiarować* cząstkę swojej mocy i witalności. Klątwa zaniżała

wartość, ale i tak lombard zaoferował za kościany artefakt dwa tysiące złotych monet. I widać było, że opcja targowania się wchodziła w grę. Wtedy rycerz przypomniał sobie słowa Koryntiasza Szramy wypowiedziane we włościach czarnoksiężnika. I odmówił sprzedaży.

Przyszła kolej na przedmioty pochodzące od mężczyzny w czerni, który zabrał Gaspara. Jego talizman, noszony na wytrzymałym łańcuszku, był przydatny przy namierzaniu i odnajdywaniu magicznych przedmiotów. Potrafił je *wywęszyć* z olbrzymiej odległości. Cena zaproponowana przez magów i Geliena Vosa była konkretna. Doszło do transakcji. A kiedy czarodziejscy bracia rozpoczęli przyglądanie się lunecie oraz oderwanej ręce, szybko zapomnieli o wcześniej identyfikowanej lasce.

Lunetę badali wiele dni, a Ragnar lub Paulus, na zmianę, doglądali identyfikacji. Porównywanie przedmiotu z zapiskami z tajnych ksiąg nie przynosiło efektów. Właściciel lombardu początkowo kręcił nosem uważając, że studia nad czarodziejskim przyrządem hamują codzienny ruch w interesie, ale magowie nie chcieli słyszeć o przerwaniu ekscytującego zajęcia, dając Vosowi do zrozumienia, jak cennym zdaje się być ten przedmiot.

Dwunastego dnia Rohit Theallet, czarodziej z wyraźną nadwagą, przedstawił wyniki badań:

– To jest shaeidański przyrząd optyczny posiadający runiczne znaki, uaktywniające określone zaklęcia. Nie ma odpowiednika wśród ludzkich artefaktów. Nie potrafimy zidentyfikować go w pełni, ale dotarliśmy do kilku ciekawostek – mag zrobił pauzę – potrafi niesamowicie zwiększać możliwości wzroku patrzącego przezeń, umożliwia widzenie w nocy, nawet bez towarzyszenia światła księżycowego, poznaliśmy także imię tego przedmiotu: *Suil Bann*, co można tłumaczyć jako Dosiężne Oko. Jest niezwykły, misternie wykonany i pełen tajemnic.

Ragnar poprosił o podanie ceny, a gdy ją usłyszał pokręcił głową, odmówił i zapłacił za identyfikację ostatniej z posiadanych rzeczy: odjętej kończyny. Właściciel lombardu był wściekły i podał wysoką cenę za ostatnią przysługę, zabierając także sporą sumę za pracę przy lunecie. Nordyjski szlachcic zapłacił i dostarczył makabryczny obiekt badań.

Pierwszą reakcją magów na widok urwanego ramienia był śmiech, ale kiedy dokonali nań zwykłego wykrycia magii, zmienili swoje nastawienie i pracowali przez wiele godzin. Poprosili także w pewnym momencie o dodatkowe informacje. Chcieli wiedzieć dokładnie, kiedy i gdzie kończyna została oddzielona od ciała, jakie panowały wtedy warunki, i jaki rodzaj magii znajdował się w pobliżu. Późną nocą, a właściwie wczesnym porankiem, zmęczony Biyan Theallet poprosił Ragnara i Paulusa o chwilę rozmowy.

– Pan Gelien Vos, nasz szef, to dobry człowiek. Płaci nam dobre pieniądze. Dba o ruch w branży. Ale przy całym swoim talencie, jego podejście nijak się ma do naszego. Te przedmioty, które nam pokazaliście, nie stanowią dla niego takich skarbów, jak dla nas. – Czarodziej uśmiechnął się. – Przez te ostatnie kilka dni nauczyliśmy się o identyfikacji i o magicznych artefaktach o wiele więcej niż w ciągu ostatniego roku, i za to wam dziękuję. Ja i

moi bracia. Za tę sposobność. Luneta jest cenna poprzez unikalne pochodzenie i stanie się jeszcze cenniejsza, gdy zbada ją ktoś bardziej wyuczony niż my. Ale jest także zapowiedzią kłopotów. Nasz świat nie toleruje tego, co shaeidańskie, tego, co obce. Pamiętajcie o tym, kiedy będziecie jej używać. Ramię zaś… to kolejna zagadka. Według naszych domniemań, doszło do reakcji między pradawną, artefaktyczną mocą *Suil Bann*, a energią wspominanego przez was portalu. W efekcie, oderwane ramię nabrało cech nadnaturalnych. Nie ulega rozkładowi. Jest wieczne, jeśli tak można o nim powiedzieć. I emanuje dziwną energią, powiązaną z Esencją podobną do tych, które wypełniają magiczne przejścia.

Ragnar podniósł się i otworzył usta. Mag pokiwał głową i dokończył:

– Byliście ze mną szczerzy, i powiedzieliście prawie wszystko. Jeśli szukacie człowieka, do którego należało to ramię, jest szansa, że zdołacie go odnaleźć. Energia wypełniająca kończynę umożliwia to. To będzie kosztowało. Dużo, może nawet bardzo dużo, ale znam ludzi, którzy potrafią ustawić specyficzne przejście, czarodziejski pomost do miejsca gdzie obecnie przebywa poszukiwany przez was mężczyzna.

***

Niyah Elbaz z Burzowego Wybrzeża zmrużyła oczy. W najwyższej komnacie wieży czuła silne drganie unikalnej, shaeidańskiej magii. Na specjalistycznym stojaku wykonanym z drewna, umieszczono lunetę. Rycerz przytrzymywał ją dłonią. Jego palce dotykały jednego z runicznych znaków, który lśnił bladoniebieskim światłem. Mężczyzna odziany był w tunikę, na którą zarzucił płaszcz z miękkiego materiału. Dzień zapowiadał się na upalny i duszny, ale w powietrzu czuć było jeszcze chłód poranka.

Czarodziejka zatrzymała się i z dużą przyjemnością przyjrzała nordyjskiemu szlachcicowi. Długie włosy związał z tyłu głowy, za pomocą barwnej chusty. W skupieniu oddawał się obserwacji. Lewe oko przytknął do okularu, prawe przymknął.

„Silne, wyraźne rysy. Młodzieńcza uroda, ale gdzieś pod tym wszystkim tajemnica i niezwykły smutek”.

– Wybaczysz, pani, ale nie będę w stanie rozmawiać z tobą twarzą w twarz – Ragnar powiedział to cicho. – Od tego, co jestem w stanie dojrzeć może zależeć…

– Życie dziecka. – Niyah przerwała mu i zbliżyła się.

Rycerz zamyślił się słysząc jej słowa, skinął głową, ale nie odezwał się.

– Nie zamierzam odrywać cię od obserwacji. – Czarodziejka nachyliła się i szepnęła do jego ucha. – Ale siedzisz tutaj kilka godzin. Przyniosłam trochę chleba i winogrona, panie.

– Nie śmiałbym odmówić.

– To dobrze. Powinieneś być najedzony i wypoczęty. Przynajmniej o to pierwsze mogę się postarać. – Podała mu kilka gron wprost do ust.

Karmiła go przez chwilę. Po jakimś czasie przez jego twarz przemknął delikatny uśmiech.

– Lubisz te owoce – mruknęła. – Na Północy próżno ich szukać.

– Nie trzeba czytać w myślach, by to wiedzieć, *mandjeio*…

Zaskoczyło ją, że zapamiętał to określenie.

– Co właściwie oznacza to słowo? Użyłaś go…

– *Mandjeia* to, w mowie Lothanu, Opiekunka Myśli.

– Jakże poetycko – zadrwił. – Ale, w gruncie rzeczy sprowadza się to do…

– Zdradziłam wam, co potrafię.

– Nie wyobrażam sobie, byśmy mogli współpracować, gdybyś zataiła tę akurat czarodziejską umiejętność. – Tym razem Ragnar spojrzał na nią otwierając prawe oko. – Nasze życia zależą od tego, jak bardzo możemy sobie ufać.

Milczała.

– Jak zaczęłaś pracować dla Popperów, pani?

– Polecono moje usługi. Wykonałam kilka zleceń, kilka razy ryzykowałam życie dla tej rodziny. Zaufali mi. I wtedy spadło na nich to nieszczęście. Byłam poza miastem. Kiedy przybyłam, Guderion już działał, a ja miałam zapewnić bezpieczeństwo reszcie domowników. Zadowolony?

– Nie dąsaj się, mości czarodziejko. – Rycerz zaśmiał się, ale zaraz spoważniał i dorzucił – oni ufają tobie, ale ty im nie. Przecież wiesz, że nie mówią nam wszystkiego, zbyt dużo tutaj tajemnic. To nie pomaga.

– Oni zbudowali swoją pozycję poprzez tajemnice i sekrety.

– Nie namawiam cię, by ich szpiegować, i tym bardziej nie proszę o wykorzystywanie twoich magicznych zdolności. Ale mogłabyś nam zdradzić więcej, z tego, co i tak już wiesz.

– Jesteś ciekawym przypadkiem, jak na rycerza, panie. – Teraz Niyah uśmiechnęła się. – Niby Nord, co zwyczajnie ceni honor i winien być wierny służbie i ideałom, ale jednak twardo stąpający po ziemi, i znający się na ludziach. Jest w tobie coś jeszcze. Gdybym, dla przykładu chciała zajrzeć w twój umysł, musiałabym bardzo się postarać.

– Siła przodków i moc wiary w Trzynastu.

– Odpowiedziałeś bez zawahania, ale ja bym raczej rzekła: trening. Ktoś cię uczył jak blokować moce, podobne do moich.

– Mówimy o mnie, pani, czy o Popperach?

Pokręciła głową i fuknęła z niezadowoleniem. Po dłuższej chwili odezwała się cicho:

– Porwana jest córką Erstena, drugiego brata w rodzinie, w głównej gałęzi. Popperowie są już jak szlachta. Jak jej bogata część. Mają tutaj majątki, na Insulo-Planto, pod cesarską strażą. Wieczerzają z rycerzami i kapłanami…

– Ale ci nimi gardzą.

– Owszem. I nienawidzą ich. Popperowie byli kiedyś zwykłymi rybnymi kupcami. Dostarczali cesarskim pożywienia, a teraz siedzą przy ich stole. – Niyah oparła się o krawędź małego stołu i jadła winogrona. – Ersten i jego brat mają niezliczoną liczbę wrogów. A ci wszyscy nienawistni ludzie uderzą, gdy poczują słabość rodu. Stąd ukrycie wiadomości o porwaniu.

– Porywacze nie rozgłosili, że dokonali uprowadzenia. – Rycerz cały czas spoglądał w lunetę.

– Może zamieszanie nie jest im na rękę. Nie wiem tego. Nie ulega wątpliwości, że panienka Gratia jest bardzo cenna. A ojciec kocha ją nad życie. Jej starsze siostry zmarły młodo, mówi się, że na cesarski pomór.

– Osoby odpowiedzialne za bezpieczeństwo dziewczynki spartaczyły sprawę.

– Nie zamierzam ich bronić, ale wszyscy oni zapłacili życiem.

Ragnar otworzył usta, jakby zamierzał coś powiedzieć. Pokręcił lekko głową i, po chwili ciszy, odezwał się:

– Koryntiasz zajmie się obejrzeniem ogrodu, co da nam dodatkowe informacje. A Paulus dowiedzie, czy w porwaniu brali udział magowie. Mamy mało czasu, a możliwości jest multum. Wygląda to jednak, choć nie jestem specjalistą w takich przypadkach, na dobrze zaplanowaną robotę. I to przygotowywaną tygodniami.

– Mieli kogoś wewnątrz, albo…

– Myślę, że powinnaś spojrzeć w lunetę, pani.

Ragnar poinstruował ją jak użyć przyrządu, przestrzegając przed gwałtownym szokiem wizualnym, gdyż luneta w niezwykły sposób wpływała na postrzeganie rzeczywistości.

– Co widzę? – szepnęła, przymykając jedno oko.

Barwy były przesycone, roślinność kusiła swoją świeżością i bujną zielenią, pył pokrywający gzymsy wyglądał niezwykle wyraziście, a dachówki miały kolor krwistej czerwieni. Oko przytknięte do okularu spoglądało w odległe miejsce, tak jakby znajdowało się ono na wyciągnięcie dłoni.

– Wysoki budynek na północnym wschodzie, tuż obok małej świątyni. Tej z płaskorzeźbami u podstawy dachu, w sąsiedztwie willi Popperów. – Szlachcic stanął za jej plecami i obiema dłońmi, lekko dotknął jej skroni, wskazując odpowiednie miejsce. – Od godziny przyglądam się tej części zabudowań. Wyeliminowałem kilka miejsc, ale tam, gdzie spoglądasz, co jakiś czas pojawia się mężczyzna. Wypatruje. Myślę, że warto to sprawdzić. Z całą pewnością jest ich kilku, ale ten jeden powinien nam wystarczyć. Potrzebuję Koryntiasza.

Ostatnie zdanie było formą prośby, skierowanej do niej.

Niyah Elbaz przekazała rycerzowi lunetę, zamknęła oczy i powędrowała myślami do mężczyzny nazywanego Szramą.

***

W środku nocy, wiele godzin wcześniej, członkowie drużyny, wszyscy poza krasnoludem, przystali na propozycję czarodziejki. Zgodzili się na kilka kwadransów medytacji, połączonej z kontaktem umysłowym, tak, aby specjalistka była w stanie *odnaleźć ich* później i błyskawicznie przekazać wiadomość.

Kilka przecznic dalej, na terenie posiadłości należącej do rodziny Popperów, Koryntiasz Szrama poczuł delikatne ukłucie bólu w przedniej części czaszki, zmarszczył brwi, po czym odczytał treść przekazu.

***

– Wiedziałeś, mój drogi Casimirze, że posągi, na które teraz patrzymy, są jedyne w swoim rodzaju? – Głos starca był aksamitny, pobrzmiewała w nim charyzma i niezwykła mądrość.

– Zapewne, skoro tak mówisz, panie. Nie do końca rozumiem jednak, co masz na myśli.

Staruszek uśmiechnął się.

– Miało wyjść retorycznie, ale zapomniałem, że twoje studia nad historią antyczną nie należały do najdokładniejszych. Tak samo zresztą było z teologią klasyczną.

Ostatnie zdanie zabrzmiało jak pytanie.

Casimir pokiwał głową i przyjrzał się smukłej postaci wyrzeźbionej ze sporej bryły szlachetnego, białego marmuru. Posąg, wysoki na ponad osiem łokci[xi], przedstawiał brodatego, łysego mężczyznę o atletycznej sylwetce. Jego ciało owijała obszerna toga, a w ręku dzierżył przedmiot przypominający słoneczny dysk.

– To musi być Soares. Pan promieni słonecznych.

– Więc nie jest tak źle. – Starzec znów się uśmiechnął. – Ale to było proste do ustalenia…

– Bo symbol jest oczywisty, a obok ustawiono kobietę z kwiatem róży i skulonego przy ziemi starca. – Casimir uniósł brodę i potarł podbródek. – Choć gąszcz zakradł się do podstawy postumentów. Ogrodnicy tutaj nie zaglądają, zdaje się.

– O to właśnie pytałem. Wiesz już, dlaczego ta część ogrodu jest unikalna?

– I zaniedbana? Na pół dzika? Droczysz się ze mną, panie.

– Nie pamiętasz. – Staruszek wyglądał na zawiedzionego. – Takich posągów nie zobaczysz w innych majątkach świątynnych. W opactwach także. W całej Cezarii nie ma podobnych, zachowanych w całości posągów Trzynastu, pochodzących z czasów przed

Drugim Spętaniem. Wszystkie usunięto i zniszczono. Z odpowiednią, rzecz jasna, czcią, ale jednak zniszczono.

– Te pozostały.

– Były blisko Wielkiej Świątyni, cesarze nie odważyli się, a arcykapłani uznali, że zapomnienie w dzikim ogrodzie wystarczy.

– Trzynastu to symbol, zaklęta w kamieniu moc boska.

– Tak. A wyobrażenia Patronów zbyt mocno przypominające ludzi, z naszymi wadami, przywarami i słabościami, nie znajdowały popularności w nauce Zakonu Trzynastu Kamieni.

– Ty jednak odwiedzasz ten gąszcz.

– Przywilej wieku. – Starzec podreptał w kierunku posągu kobiety z różanym krzewem, lewą ręką opierając się na lasce. W prawej dłoni ściskał modlitewny *piasir*[xii]. Kamienie połączone delikatnym łańcuszkiem były wytarte i dawno powinny być wymienione na nowe. Casimir podszedł za staruszkiem do stóp figury i rzekł:

– Roza, patronka rodziny, gospodarstwa domowego.

– Pani miłości i pożądania – dodał staruszek i zachichotał – jak utrzymują inni. Piękna, kamieniarska robota. Wspaniałe proporcje.

– Nie przystoi nam prawić o takich rzeczach, zwłaszcza w świętym miejscu, panie.

– Wypadł mi z pamięci twój stosunek do dziewek, Casimirze, z całą pewnością z uwagi na mój zaawansowany wiek. Ale coś tam, co pochodzi z historii twoich miłosnych podbojów, przypomina mi się aktualnie. Są w tym wspomnieniu i miejsca, w których nie powinno cię być, i rzeczy, których nie powinieneś był w owych miejscach robić.

– Znów znęcasz się nade mną, panie.

– Oj, rozchmurz się. – Stary mężczyzna odwrócił się i poklepał Casimira po ramieniu. – Poproś Rozę, w myślach, o pomyślność dla twej małżonki i dzieci. I o więcej czasu, i mniej zajęć dla siebie, byś mógł ich odwiedzić w domu rodzinnym.

Starzec zamknął oczy, oparł kostur o podstawę pomnika, ujął *piasir* obiema dłońmi i bezgłośnie wypowiedział słowa modlitwy. Po krótkiej chwili, nie otwierając oczu, szepnął:

– Póki myśli nasze blisko są Patronów i kwestii boskich, nasze własne sprawy mają większą moc, i większą szansę powodzenia, więc mów. Co z człowiekiem z lochu?

Casimir uśmiechnął się do siebie, półgębkiem.

– Nie jest już w naszym zasięgu, choć nim go straciliśmy, wyznał nam sporo.

– Czyżby wieczerzał już na wieki, u boku Craniusa[xiii]?

– Tak byłoby najlepiej, choć prawdopodobnie nie powiedział nam wszystkiego. Zbiegł.

Staruszek zmarszczył czoło, ale nie uchylił powiek. Młodszy mężczyzna kontynuował:

– Rzekł nam o chłopcu, który posiada silny Dar. I podał nam, choć bardzo starał się nas zwieść, miejsce, gdzie ów przebywa. Natknął się na młodzieńca całkiem przypadkiem, i porwał go, gdy zdał sobie sprawę z jego niezwykłości. Chciał go nam wydać, ale zamierzał się targować. I chyba przecenił własne zdolności kupieckie.

– Może i tak, ale faktem pozostaje, iż wyrwał się twoim ludziom.

– Zaiste.

– Cóż właściwie o nim wiemy? To nasz człowiek?

– Wolny. Najemny wypatrywacz, zabójca, czasami parający się kradzieżą. Używa kilku imion. Sprytny. Pracował niegdyś dla jednej z naszych grup. Skontaktował się z nami przez świątynię.

Starzec milczał przez moment, później szepnął coś niezrozumiale i skłonił głowę, mrugnął oczami i spojrzał na Casimira.

– Jak trafił na chłopaka?

– Pracował dla kupieckiego bractwa, ale to była tylko przykrywka. Pamiętacie, panie, tę historię o czarnoksiężniku? To było, jakieś trzy miesiące temu. Przy tej okazji ucierpiał stary de Gea.

– Stracił syna. Niech Cranius ma go w opiece. Pamiętam.

– Upadłego maga, koniec końców, dopadła grupa śmiałków. Nasz zbieg uczestniczył w tej awanturze, w jakiś sposób. Nie ustaliliśmy czy współpracował z drużyną, czy działał w pojedynkę, ale znalazł się tam, opodal Ringen, na wyspie. Jego zadaniem było zdobycie czarnoksięskiego artefaktu, pewnego rodzaju różdżki, o sporej, wedle jego słów, wartości.

Stary mężczyzna pocierał kamienie w *piasirze*.

– Po przedmiot wysłała go grupa czarodziei. Nim wszedł w jego posiadanie, natknął się na młodziaka.

– Co z czarodziejami?

– Tortury zadziałały, akurat w tym przypadku. Dał nam imiona i miejsca. Rozpracowujemy ich, powolutku.

– A zbieg?

– Szukamy. Można rzec, że jesteśmy blisko.

Starzec zachował beznamiętny wyraz twarzy.

– Chłopak?

– Tutaj jest ciężej. Ból kazał przesłuchiwanemu mówić, ale robił on wszystko, by ukryć prawdę. Nie dostaliśmy żadnej informacji wprost. Dobrze słuchaliśmy, i teraz z tych strzępków informacji budujemy obraz całości. Mogę cię zapewnić, że i w tej sprawie jesteśmy nieopodal celu.

– Zawsze ci ufałem, Casimirze. Więc wiesz, że nie zadam żadnego zbytecznego pytania. – Staruszek zawiesił *piasir* na szyi, chwycił laskę i przeszedł kilka kroków w lewą stronę, nie przestając mówić. – Mam pewność, że zrobisz wszystko dla naszej sprawy. Ciekawi mnie tylko jedno.

– Panie?

– Czemu przyszedł do świątyni? Czemu szukał Straży[xiv]? Nie zwrócił się do magów.

– Długo się zastanawiałem. To od początku mi nie pasowało. Możemy tylko snuć domysły. Przypuszczam, że porywacz musiał mieć wiedzę o ludziach obdarzonych podobnym Darem. I zdawał sobie sprawę z wartości chłopaka, a jego aktualni pracodawcy mogli nie mieć odpowiednich funduszy, by za *obiekt* zapłacić. To najpewniejsza możliwość.

Starzec przycupnął przy podstawie trzeciego posągu, przedstawiającego przykucniętego mężczyznę, odzianego w prostą tunikę. Chudy, marmurowy jegomość wspierał się na długim, prostym kiju.

Casimir podszedł i schylił się obok starszego mężczyzny, gdy ten skinął na niego. Z pomiędzy obszernych, białych szat, staruszek wyciągnął kawałek lnianego materiału. U podstawy figury znajdowało się sporo roślin zielnych. Spomiędzy ich korzeni wygrzebał garść ciemnej ziemi, zawinął ją w zaimprowizowany woreczek i wcisnął w dłoń Casimira.

– Stare podania głoszą, że pod posągami Pana Urodzaju zawsze znaleźć można odpowiednią, najlepszą z możliwych, żyzną glebę. Fakt, że jest to ostatni z pomników, tłumaczy, skąd tyle głodu na cesarskiej ziemi. Daje ci tę garść, byś szybko dokończył, co zlecili ci Spętani, i byś szczęśliwie mógł wrócić do rodzinnego majątku. Zasiej coś na swej roli, dosypując grudkę, którą moimi rękami daje ci Mar[xv], patron rolników.

Rozmowa była zakończona, więc Casimir skłonił się przed starcem. Do mężczyzn zbliżyły się dwie służki świątynne i potężnie zbudowany eunuch. Służki były głuche a siłacz, nie rozumiał zbyt wiele z tego, co się dookoła niego dzieje, chyba że chodziło o podtrzymanie staruszka, pomoc w marszu, względnie o walkę w jego obronie. Wszyscy wyżsi kapłani Świątyni mieli do dyspozycji specjalną gwardię, złożoną z ograniczonych umysłowo pół-mężczyzn. Większość eunuchów sprowadzano z Sudmaaru, z cesarskiego pogranicza. Tajemnice, które mogły pojawić się przy okazji rozmowy, były bezpieczne.

Staruszek pobłogosławił Casimira, wymieniając imiona wszystkich Spętanych w Błogosławieństwie, zaciskając wątłą dłoń na jego ramieniu. Młodszy mężczyzna oddalił się pospiesznie.

Kiedy miał już pewność, że starzec nie widzi jego oblicza, odetchnął. Mięśnie twarzy, starannie ułożone, wyrażające dokładnie to, czego życzył sobie ich właściciel, zawsze były jego atutem. Potrafił zwieść każdego. Każdemu był w stanie wmówić dowolne kłamstwo. Ale ze staruszkiem było inaczej.

Elam Graniros potrafił wyczytać z twarzy rozmówcy wszystko. Całe życie poświęcił na studia nad ludzkim kłamstwem. I tę wiedzę uczynił swoją bronią. Znając fałsz tak dobrze, nauczył się także jak go w odpowiedni sposób maskować. Miał niewielu uczniów. Najlepszym z nich był Casimir.

Teraz zastanawiał się, jak wiele ponad to, co wypowiedział, zdradził staruszkowi. Ufał, że mało. I miał nadzieje, że Elam uzna tę wiedzę za niezbyt ważną, że zrzuci te wątpliwości na karb zdenerwowania swojego rozmówcy. I wstydu, związanego z niewypełnieniem tak wielu pokładanych weń nadziei.

Casimir źle się czuł, kłamiąc przed swoim nauczycielem i mentorem, przed człowiekiem, który nauczył go wszystkiego, i dał szansę na dostatnie życie. To łgarstwo mogło kosztować go głowę, ale nie miał wyboru. Nie zawsze potrafił zrozumieć, co rzucił mu los, a dawno już przestał ślepo wierzyć w Trzynastu.

Nie mógł wyznać prawdy związanej z porywaczem. Całej prawdy o jego niezwykłej ucieczce i na temat jego przerażającej tajemnicy. Nie zdradził Elamowi Granirosowi, nestorowi Straży Świątynnej, członkowi rady cesarskiego wywiadu, faktu istnienia Ismaela Hyml, niebezpiecznego maga zza Żelaznych Gór, który zbierał z zakątków całego, znanego świata młodzieńców i dziewki potrafiących ingerować w Nici Czasu.

Miało stać się coś niezwykłego, Casimir to przeczuwał. A wiedza, którą zgromadzi, i miejsce, w którym będzie stał, gdy zostaną rozdane karty, były bardzo istotne. Ważniejsze niż Elam. Ważniejsze niż Cesarstwo. Ważniejsze niż dotychczasowe życie Casimira. Zapewne ważniejsze nawet niż bogowie.

III - Krew

Horacjusz Berg, starszy dekurion[xvi] północnego garnizonu mocniej zacisnął dłoń na rękojeści krótkiego miecza. Drugą ręką wskazał swoim ludziom na odrzwia. Pocił się niemiłosiernie, choć powietrze nad wyspą Pamos było rześkie. Na dodatek dopadły go delikatne dreszcze.

„Co to ma być, cholerny durniu?", skarcił sam siebie w myślach. „Na starość łapie cię zdenerwowanie? Strach? Tak jakbyś nigdy tego nie robił..."

Robota wyglądała na prostą i stosunkowo bezpieczną. Horacjusz wiedział jednak, że każda akcja tego typu niesie ze sobą ryzyko. Wchodzili do niesprawdzonej kamienicy. Nie mieli pojęcia, co czeka w środku. Mogli się tylko domyślać.

Zaledwie dwie godziny temu w strażnicy pojawił się człowiek, sypiący złotem. Grubas, w podniszczonych szatach, wyglądający na kupca lub skrybę, potrzebował nająć trzydziestkę ludzi. Dziesiętnikowi nie podobał się pośpiech i brak planu, ale monet było sporo, więc zgodził się. Miejskie legiony często brały dodatkową pracę, nie było to niczym niezwykłym. Co prawda, zdarzało się, że niektórzy legioniści służyli przestępcom, i takich drani od razu wieszano lub nabijano na pal, dla przestrogi. Jeśli jednak robota była stosunkowo czysta, nawet setnicy[xvii] przymykali oko na taką działalność, inkasując oczywiście odpowiedni procent od wynagrodzenia swoich ludzi.

W tym przypadku Horacjusz zabrał ze sobą, prócz własnej, jeszcze dwie dziesiętnie: dowodzone przez Blooma i przez Kheriosa. Razem wyszło dwudziestu ośmiu ludzi. Szczęśliwie, setnik Duxo nie przyjechał dzisiaj do strażnicy, dlatego pieniędzy do podziału było więcej.

Trzej gwardziści przycupnęli przy drzwiach, gotowi do ich wyłamania. Byli odziani w tuniki o brunatno żółtych barwach północnego garnizonu, na które narzucili skórzane zbroje. Większość z nich wcisnęła na głowy otwarte moriony, na kilku szyjach widać było obszerne, żółte chusty. Nie zabrali ze sobą długiej broni, przypasali tylko krótkie, szerokie miecze. W dłoniach trzymali solidne młoty, na długich trzonkach. Czekali na sygnał. Dziesiętnik łypnął okiem na dodatkowego żołdaka. To był krasnolud, w skórzanej czapie, z dwoma toporkami w dłoniach. Ponoć, należał do drużyny, która najęła legionistów. Niski wojownik sapnął i niecierpliwie rozejrzał się. Przez moment jego spojrzenie spotkało się ze spojrzeniem Horacjusza. Dekurion odwrócił wzrok i rozwinął zaciśniętą pięść prawej dłoni, dając sygnał swoim ludziom.

Uderzenia dwóch potężnych młotów wyrwały drewniane drzwi z zawiasów. Przodem ruszyli legioniści dzierżący szturmaki. Ciężkie strzelby, nabite drobnymi kamieniami, resztkami ceramiki i potłuczonym szkłem trzymali nisko przy ziemi. Strzelać też mieli nisko. Zleceniodawcy życzyli sobie, by mieszkańcy kamienicy przeżyli, lub przeżyli na tyle długo, by

dało się ich przesłuchać. Więc szturmaki, na które na południu Cesarstwa mówiono: garłacze, były odpowiednie.

Krasnolud wpadł do korytarza tuż za strzelcami, Horacjusz biegł, jako jeden z ostatnich. Zagrzmiał wystrzał i od razu dało się słyszeć nieludzkie wycie z bólu. Po drugiej stronie kamienicy strzelano dwa razy, widać ktoś próbował czmychać na zachód, w kierunku zaułków nędzarzy. Trzecia dekuria obstawiała front kamienicy, i zapewne, po usłyszeniu strzałów także zaczęła działać.

W pierwszym mijanym pomieszczeniu, już na piętrze, Horacjusz dostrzegł skulonego pod ścianą mężczyznę i szlochającą kobietę, która go tuliła. Mężczyzna miał poharatane nogi, a w izbie było sporo krwi. Dwójki ludzi pilnował jeden z legionistów. Wsuwał właśnie jęczącemu rannemu drewniany kołek między zęby. Dekurion krzyknął i pozdrowił swojego człowieka skinieniem głowy. Wtedy padły kolejne dwa strzały. Prócz wrzasków trafionych przez odłamki, słychać było krzyki legionistów:

– Leżeć! W imię cesarza! Legiony miejskie! Nie rusz się, psie! Na ziemię! Zawrzyj mordę! Kurwa!

Chyba ktoś próbował walczyć, bo w głębi kamienicy brzęknęła stal. Kolejny krzyk przeszedł w rzężenie. W większej sali, krasnolud wyciągał właśnie z piersi leżącego pod ścianą mężczyzny swój toporek. Legioniści pętali ręce trzech ludzi, leżących na podłodze.

I już było po wszystkim. Umówione hasła, wykrzyczane przez dowódców dekurii, dały Horacjuszowi znać, że sytuacja jest opanowana. Zarówno pierwsze, mieszkalne piętro, jak i gospodarcze przyziemie były zabezpieczone. Do głównej sali, od strony frontu wszedł potężny, łysy mężczyzna w różnokolorowych, obszernych szatach. W pierwszej chwili wydawało się, że jest mnichem, lub kapłanem. Mógł być jednak także czarodziejem.

Naraz, jeden ze związanych, z niebywałą zręcznością wyplątał się z pęt i dopadł do stojącego obok legionisty. Małym, uprzednio ukrytym nożykiem ciął go w szyję, jednocześnie kopiąc drugiego strażnika i ryknął:

– Teraz!

Zza kotary rozwieszonej pomiędzy dwoma masywnymi szafami wyskoczył jasnowłosy młodzieniec, umiejętnie wyminął kolejnego gwardzistę i nie zatrzymując się ani na chwilę dopadł do okna. Skoczył pomiędzy półotwarte okiennice i zniknął na zewnątrz.

W tym samym momencie jego wspólnik otrzymał cios toporkiem w udo. Przewrócił się i dopadli go legioniści, kopiąc zajadle. Ktoś próbował ratować strażnika krwawiącego obficie z rany na szyi.

Horacjusz Berg przełknął ślinę i ze zdumieniem powiódł wzrokiem za łysym mężczyzną, który popędził do schodów, prowadzących na dach. Od razu ruszył za nim.

„Dach”, przypomniał sobie biegnąc po stopniach. „Płacący za wynajęcie naszych dziesiętni twierdzili, że sami zajmą się obstawieniem dachu”.

Horacjusz osłonił oczy. Słońce stało w najwyższym punkcie i świeciło oślepiająco, na niebie nie było widać ani jednego obłoku. Po chwili dostrzegł mężczyznę odzianego w obszerne szaty, które łopotały na wietrze. Łysol stał na brzegu kamienicy i wypatrywał. Szybko przebiegał wzrokiem po okolicznych dachach, spoglądał także na ulice.

Dekurion zbliżył się i ze zdziwieniem usłyszał, jak mężczyzna mówi do siebie:

– Wyskoczył oknem na południe, ma kilkanaście lat, płowe włosy, brązowe spodnie, jasną, lnianą koszulę, kubrak. Myślę, że będzie biegł, a nie wmiesza się w tłum. Ma przekazać wiadomość, ale nie sądzę, żeby wiedział gdzie trzymają dziecko. To łącznik. Szybki i sprawny.

Zapadła cisza. Łysy mężczyzna miał zamknięte oczy. I jakby czegoś nasłuchiwał. Po kilku chwilach uśmiechnął się, spojrzał na północny wschód i mruknął:

– Doskonale.

Horacjusz zmrużył oczy i sięgnął wzrokiem w tym samym kierunku. Nad tą częścią Piaskowej Wyspy górowała stara wieża świątynna, wysoka, brunatna budowla, dzisiaj już nieużywana. Tuż u jej szczytu znajdował się podest, z kamiennym murkiem. Odległość była spora, a oczy dekuriona już nie najlepsze, ale był pewien. Na świątynnym podeście usadowił się człowiek.

Łysy olbrzym minął wciąż zmieszanego Horacjusza i kładąc mu dłoń na ramieniu rzekł:

– Dziękujemy, ja i moi towarzysze. To była dobrze wykonana robota.

Dziesiętnik potrząsnął głową, otworzył usta chcąc zadać jakieś pytanie i odwrócił się. Ale nie potrafił znaleźć odpowiednich słów. Patrzył tylko jak tajemniczy mnich lub czarodziej znika we wnętrzu kamienicy. „Tak. To była dobrze wykonana robota".

***

Koryntiasz Szrama biegł, umiejętnie wybierając miejsca dla swoich stóp. Dachy kamienic w Konstanzie były dwojakiego rodzaju: płaskie, rozległe, kamienne powierzchnie, nierzadko zabudowane drewnianymi szopami i budkami lub porośnięte małymi ogrodami, oraz lekko spadziste, kryte rudobrązową dachówką. Po tych pierwszych poruszało się szybko i względnie bezpiecznie, te drugie bywały zdradliwe. Dachówki starych domów niszczały na słońcu i deszczu, kruszyły się pod stopami. Trzeba było zwalniać, wybierać odpowiednie przejścia.

Dwa razy dostrzegł uciekającego, ale za każdym razem warunki do strzału były niewystarczające. Nie było pewnego podłoża dla stóp, lub cel krył się w tłumie zbyt szybko. Ścigany prawdopodobnie nie wiedział o obecności łucznika, więc niecelny strzał mógł go tylko spłoszyć.

Gdy młodzieniec w kubraku znikał Szramie z oczu, strzelec zdany był na głos odzywający się w jego głowie. Niyah Elbaz przekazywała mu wskazówki, magicznie *szepcząc* wewnątrz jego umysłu. Szlak ucieczki śledził z ogromnej wysokości Ragnar, a czarodziejka była swoistym łącznikiem między towarzyszami.

***

Rycerz stał na świątynnej wieży, z lunetą przytkniętą do lewego oka. *Suil Bann* lśniła w słońcu, a kilka z shaeidańskich runów, wyciętych w drewnie emanowało magicznym blaskiem. Ragnar wypróbował ryzykowne właściwości przyrządu. Magowie identyfikujący zdolności lunety wspominali, iż każda z owych mocy powoduje czasowe wyczerpywanie się energii zawartej w artefakcie. Zwykłe przybliżanie wzroku było podstawową cechą przedmiotu i nie wpływało na jej stałe używanie, pozostałe zdolności były możliwe do zastosowania, raz na jakiś czas. Zaklęcie aktywujące runiczny zapis z przodu lunety było trudne do wypowiedzenia. Ragnar nie opanował go dobrze, ale po kilku próbach wreszcie się udało.

„*Talloa Leima Ta' Valoisa*".

Zaklęcie w niezwykły, niewytłumaczalny sposób wykorzystywało promienie światła. Punkt, na który skierowano lunetę, zalewany był światłem, odbijającym się w tafli wody, igrającym na jasnych kamiennych ścianach, nawet tym, które błyskało w szybach niektórych kamienic. Światło owo otaczało punkt, a kiedy patrzący przesuwał lunetę, podążało za jego wzrokiem. Obserwator mógł, więc dostrzegać rzeczy, nawet bezpośrednio niewidoczne. W ten sposób Rag widział biegnącego chłopca w kubraku praktycznie cały czas, a gdy go *zgubił* choćby na moment luneta zaraz *odnajdowała* jego położenie.

***

Koryntiasz usłyszał sekwencję kolejnych wskazówek, zwolnił i skręcił w lewo, biegnąc bardziej na południowy wschód. Uciekinier kierował się w stronę kanału oddzielającego Pamos od Famis. Tam powinno być więcej miejsca, które potrzebne było do wypuszczenia strzał. Łucznik dotarł do krawędzi kolejnego dachu, ocenił odległość, cofnął się i wziął spory rozbieg. Potem ruszył do przodu i skoczył. Wylądował na krawędzi, łamiąc pod sobą kilka dachówek. Jakąś kobieta wrzasnęła piskliwie, kiedy odłamki posypały się na szeroką ulice poniżej. Kilku gwardzistów zadarło głowy, ale Szramy już nie było. Pędził dalej, przeklinając pod nosem.

***

– Jest nad brzegiem kanału. Biegnie na wschód – szeptał Ragnar, z trudem dobierając słowa, zdumiony wyrazistym obrazem, który luneta tworzyła w okularze. Słońce odbijało się w wodach kanału i potęgowało możliwości magicznego artefaktu. Rycerz widział dokładnie, jak wygląda uciekający.

– Koryntiaszu, Niyah – zaschło mu w gardle – to jest dziecko. Ma najwyżej trzynaście wiosen.

„Ostrzeże porywaczy". Czarodziejka przekazywała słowa Szramy. „Mogą skrzywdzić dziewczynkę. Przeniosą ją, albo okaleczą. Teraz mamy przewagę".

– Dotrzyj do kamienic nad kanałem i spróbuj go trafić. Nie zabijaj go.

„Jak daleko jest?".

– Jest ... – Do Ragnara dotarło, że młodzieniec stale powiększa przewagę, teraz biegł nadbrzeżem, więc był jeszcze szybszy. – To kilkadziesiąt kroków od miejsca, w którym będziesz... Może pięćdziesiąt...

Zawahał się. Niyah z całą pewnością wyczuła to w jego myślach.

***

„Nie zabijaj go", usłyszał w głowie Szrama. „Będziesz miał go na odległość strzału".

– Mamy przewagę, póki on nie powiadomi swoich. – Strzelec zatrzymał się na krawędzi dachu i spojrzał w lewo. – To łotr, jak ich reszta, panie rycerzu.

Na nadbrzeżu kotłowała się ciżba. Wyładowywano towary z dużych, wiosłowych łodzi i z gondoli. Wzdłuż kanału wolno poruszały się dziesiątki wozów, mozolnie brnąc przez tłum.

– Opiszcie mi cel. Ni cholerę nie widzę. Patrzę na wschód.

„Dotarł do miejsca, w którym widać trzy mosty".

Szrama zaklął**.**

– To kurewsko daleko, dalej niż mi opisywałeś, Ragnarze. Będzie ze sto kroków.

„Zatrzymał się i wspina na wóz". Czarodziejka wolno i wyraźnie przekazywała słowa rycerza. „Wóz jedzie mostem, na wyspę na południe. Jest najbliżej twojego miejsca. I porusza się bardzo powoli".

– Nie ma możliwości żebym go stąd zobaczył – Koryntiasz spojrzał w dół i wybrał jeden z wozów załadowanych workami. – Daj mi znać, kiedy dotrze na najwyższy punkt mostu.

Wziął krótki rozbieg i skoczył, umiejętnie lądując na pojeździe wypełnionym jak podejrzewał zbożem. Przelazł na sąsiedni wóz, jadący w drugim kierunku, przeklął babę krzyczącą na niego, i przeciskając się przez tłum, znalazł się na nadbrzeżu.

– Ile mam czasu?

„Kilka chwil". Głos czarodziejki był niewzruszony. „Nie więcej".

Szrama przemieścił się jeszcze kilkanaście kroków do przodu, biegnąc kamiennym murkiem. Zatrzymał się przed miejscem przeładunkowym w momencie, gdy usłyszał:

„Teraz. Wóz dotarł na szczyt mostu".

Uniósł łuk, stając na kamiennym postumencie, kiedyś przyozdobionym rzeźbą. Widać było jej resztki. Rozejrzał się, dookoła, ale nikt nie zwrócił uwagi na jego zachowanie. Oddychał spokojnie i skupił się na strzale. Broń, którą trzymał w dłoniach, była lepsza niż większość łuków, wykonana na specjalne zamówienie, łęczysko było bardziej sprężyste od zwykłych, a cięciwa splatana według dawnej, shaeidańskiej techniki.

„Daleko, piekielnie daleko".

Widział most, dostrzegał wozy w jego najwyższym punkcie. Cząstka krwi Starszego Ludu, płynąca w żyłach, dawała mu niezwykłą zręczność, i wyostrzała zmysły, ale dystans był potężny. Sylwetki osób były zbyt małe. Wytężył wzrok.

„Wóz jest załadowany skrzyniami, w przedniej części widać czerwoną tkaninę". Wewnątrz swojej głowy Koryntiasz wyczuwał to, jak Ragnar stara się pomóc. „Chłopiec… jest w tylnej części".

„Jest wóz". Szrama mrugnął. Oczy piekły go i zaczynały łzawić. „Niedobrze".

– Nie zdołam go zranić i unieruchomić. Nie trafię go w ten sposób. Mam jeden, może dwa pewne strzały. Ragnarze? Niyah?

Cisza.

„Jest cel. Jedna strzała. Głowa. Następne dla pewności".

– Nie może przekazać im wiadomości. Życie za życie. Pamiętaj, Ragnarze. Chodzi o dziewczynkę… i o naszego chłopaka. – Koryntiasz skrzywił się, zdając sobie sprawę, że *rozmowa* odbywa się za pośrednictwem czarodziejki. – Biorę to na siebie.

***

– Nie… To moja wola… Strzelaj! – Rag spojrzał na twarz uciekiniera. Chłopak był zmęczony, wycieńczony biegiem, oddychał ciężko.

Uderzenie serca później brunatno pióra strzała trafiła go w szyję, tuż pod brodą. Dwie następne uderzyły w skrzynie. Chłopak wygiął się, zachłystując krwią. Czwarta strzała wbiła się w jego bok. Piąta otarła się o kubrak i utkwiła między pakunkami.

„Nie jestem już w stanie strzelić". Głos Szramy zabrzmiał w głowie rycerza.

Nikt nie zwrócił uwagi na młodzieńca bezgłośnie konającego w tylnej części wozu. Pojazd mozolnie toczył się w dół mostu, a tłum dookoła gęstniał.

– Nie ma potrzeby, Koryntiaszu. – Ragnar ze Svero westchnął ciężko. – Twój strzał był idealny.

***

Niyah Elbaz wdychała wieczorne powietrze, które tutaj, na *Insulo-Planto* było szczególnie rześkie. Większa cześć wyspy była olbrzymim, półdzikim ogrodem. Wille i rezydencje bogatych mieszkańców Konstanzy schowane były w gąszczu roślinności. Czarodziejka szła szybkim krokiem, wybierając możliwie najkrótszą drogę. Wspinała się między wiszącymi ogrodami, co rusz zbiegała po bielonych, kamiennych schodach. Drużyna Ragnara wybrała na swoje siedliszcze skromny dom, położony przy głównej ulicy, przy zachodnim krańcu wyspy. Jedynie ta część Wyspy Ogrodów przypominała resztę miasta. Do majątku Erstena Poppera nie było stamtąd daleko, ale wiadomość dostarczona przez gońca była wyraźna:

„Nie ma czasu do stracenia. Panno Elbaz, przybądź w ciągu dwóch kwadransów do domowej świątyni, nic nie wspominając drużynie. To kwestia życia i śmierci. Ersten".

Nie miała pojęcia, o jaką sprawę chodziło, ale zatrudniając ją, kupiec wspomniał o swoich obawach. Ktoś czyhał na jego życie, i na życie jego rodziny. Popper nadal nie ufał, najmowanym przez siebie żołdakom. W wielu osobach widział szpiegów i złoczyńców.

„Co stało się akurat teraz? W jakim celu mnie wzywa?".

Była czujna, jak zwykle, teraz może nawet bardziej. Strażnikom przy głównym murze pokazała żelazny pierścień z runicznymi zdobieniami. Ci, bez słowa wpuścili ją do środka małą furtą. Wewnątrz majątku słychać było dźwięki muzyki i liczne głosy – na terenie głównych zabudowań rozpoczynała się uczta.

Do właściwego budynku weszła przez ogród, boczną alejką. Stara świątynia była kiedyś zwykłą willą, z małym patio pośrodku. Przylegała jedną ze ścian do głównej willi Popperów. Rzadko jej używano, ale zawsze płonęły w jej wnętrzu kaganki. Na dziedzińcu, pokrytym kamiennymi płytkami, zbudowano małą, okrągłą kapliczkę, poświęconą głównie Galbenowi, ale zawierającą wszystkie trzynaście Kamieni Modlitewnych.

Woń specyficznych kadzideł była dzisiaj wyjątkowo intensywna. Wgryzała się w nozdrza i delikatnie drażniła oczy.

Niyah zmarszczyła brwi i skoncentrowała się na zaklęciu.

Na krótką chwilę przymknęła oczy i wysłała za pomocą umysłu niezliczoną ilość sygnałów. Nazywała je Kręgami, bo rozchodziły się dookoła niej jak kręgi na wodzie, widoczne po wrzuceniu kamienia. Pierwsze sygnały były najmocniejsze i *mówiły* czarodziejce, czy w pobliżu znajdują się jakieś istoty myślące. Odległość, na jaką mogła wyczuwać myśli innych

była znaczna, w tej sytuacji Niyah wiedziała już, że pośrodku świątyni znajduje się dwójka ludzi.

„Patio".

Gdy czar tracił swoją moc, ulatywał w niebyt, poczuła niepewność. Każde użycie Mocy Umysłu było, co ciekawe. specyficznym doznaniem fizycznym, miało swój *smak* i *zapach*, wywoływało dreszcz lub czasami lekki ból skroni. Tym razem było inaczej. Nie potrafiła tego zrozumieć, ale zaklęcie Kręgów zadziałało w odmienny sposób, chociaż zakończyło się sukcesem.

Poczuła lekki niepokój, wszak była *mandjeią* – Opiekunką Myśli, jak nazywali ją jedni, czy też Władczynią Umysłów, jak twierdzili inni. I zawsze powinna mieć pewność. Co do każdej rzeczy.

Zacisnęła i rozwarła pięści kilkukrotnie, i zaraz potem potarła dłonią czoło. Odsunęła kotarę zastępującą drzwi, pokonała kamienny korytarz i skierowała się ku wyjściu na dziedziniec. Kadzidła pachniały przesadnie słodko, a świec było o wiele więcej niż zwykle. Gdy dotarła do krużganków widziała już dokładnie osoby stojące na patio.

Ponowiła zaklęcie, tym razem modyfikując je. Chciała wysłać sygnały wprost do umysłów dwóch mężczyzn. Ten niższy, grubszy, to prawdopodobnie Ersten, a wyższy, dobrze zbudowany, to nieodstępujący swojego pana, Luther z Teranzy nazywany Tertiem. Niyah nie podobało się, że od stóp do głów, zasłonięci byli brunatnymi szatami, a w głębi kapturów błyskały tylko białka ich oczu.

Pierwszy cios spadł na nią z prawej strony. Szabla ze świstem przecięła powietrze, ale zamiast odciąć czarodziejce ramię, czy też ranić jej szyję, w niewytłumaczalny sposób zatrzymała się w powietrzu. Niewidzialna siła sparowała cios, czemu towarzyszył dziwny, ogłuszający pisk, jakiego nie byłoby w stanie wydobyć z siebie ludzkie gardło. Na płytki, pod stopami Niyah bryznęła zielona posoka, dymiąca i śmierdząca.

„Ympus. Który to już raz ratuje mi skórę?".

W momencie, gdy napastnik z lewej wyprowadzał swój atak, czarodziejka wiedziała już, że mężczyźni przy kapliczce nie są tymi, za których ich brała, a jakaś nieznana siła musiała w pewien sposób oszukać jej magię. Wrogowie z ostrzami, z całą pewnością byli istotami myślącymi, ale nie sposób było ich *wyczuć*.

Ten z lewej był szybki, nie zdołała więc wykonać zwykłego uniku. Rzuciła się za to na zaskoczonego przeciwnika, po prawej. Był potężny, uderzyła głową o jego pierś, ale ostrze tylko ją drasnęło. Nie poczuła bólu, bo w tym właśnie momencie, uwalniała czar.

Każdy mag, niezależnie od rodzaju Domen, którymi władał, zwykle posiadał minimum dwa zaklęcia, doskonale wyuczone i starannie przygotowane. Pierwsze działało jak tarcza lub zbroja, miało chronić przed niespodziewanym atakiem. Niyah, jako *mandjeia*, nie dopuszczała wroga blisko siebie, jej *tarczą* było zastosowanie Kręgów, prawidłowo działające miały ostrzec ją nim ktokolwiek zdoła podkraść się i zaatakować. Pierwszy raz, w tak ważnej

chwili popełniła błąd. Ale miała drugi czar, drugie podstawowe zaklęcie. Czarodzieje przygotowywali je, jako szybkie i proste sekwencje. Miały atakować, rozpraszać, dezorientować lub ogłuszać przeciwnika, albo zapewnić błyskawiczną ucieczkę.

„*Erresire Buruk*". Sztuka Mroku sprowadziła kurtynę ciemności. Krużganki i sporą część patio pokryły smoliste opary, niemożliwe do przejrzenia przez oczy zwykłego człowieka. Niyah jednak, widziała w niej doskonale.

„Dwaj mężczyźni, silni i postawni", szybko oceniła sytuację. „Ale teraz szanse się wyrównały".

Istotnie, kolejne ataki wyprowadzone były przez przeciwników zupełnie na ślepo, nie miały szansy sięgnąć celu. Czarodziejka zanurkowała ku ziemi, sięgając do ukrytej na plecach pochwy. Przeciwnika po prawej cięła z dołu, od krocza, po szyję. Jucha chlusnęła na sufit, a Niyah znalazł się już za plecami rannego. Nastąpiła obcasem w miejsce zgięcia kolana, mężczyzna potknął się i poleciał w przód, wprost na dwa ostrza swojego kompana. Unieruchomiony wróg nie stanowił zagrożenia, zwłaszcza, że na jego twarzy zmaterializował się, w obłoku zielonkawych oparów, trudny do określenia kształt, łopocząc skórzastymi skrzydłami, i tłukąc długim drgającym ogonem.

Kobieta uśmiechnęła się słysząc wycie zaatakowanego. „Kwas".

Spojrzała na mężczyzn, którzy stali przed kapliczką i niespokojnie rozglądali się dookoła. Potężniejszy dobył miecza. Ciemność dosięgła ich, ale ten niższy zaczynał właśnie zawodzić wysokim głosem a spomiędzy jego szat zaczęło wydobywać się światło.

„Kapłan obdarowany przez Trzynastu".

Czarodziejka wyrzuciła przed siebie lewą rękę, otwierając zaciśniętą wcześniej pięść, ale nie zdążyła przerwać kapłańskiej inkantacji. Jej zaklęcie, oparte na Czarnej Magii, nie zdołało przebić sie przez aurę. Dookoła śpiewającego, modlącego się kapłana, zatańczyła Światłość. Przez chwilę, dwie przeciwstawne moce jakby walczyły ze sobą, próbowały przepchnąć się to w jedną to w drugą stronę. Uderzenie serca później, ciemność zaczęła się rozpierzchać, a do Niyah dotarła świadomość fizycznego bólu. Po udzie ściekała jej krew, sącząca się z rany w okolicach żeber.

Spojrzała na swój oręż. Przez ułamek chwili, na jego czarnej jak smoła klindze zalśniły czerwienią runiczne znaki. Zręcznym ruchem wsunęła do pochwy krótki, lekko wygięty i pozbawiony jelca shaeidański miecz. Odwróciła się i przestąpiła nad pokonanymi mężczyznami. Jeden już dogorywał, drugi cierpiał skowycząc i wijąc się na posadzce – jego twarz była poharatana pazurami i poparzona żrącą substancją. Tuż za cofającą się czarodziejką pełzała magiczna kurtyna ciemności, towarzysząc jej aż do świątynnego wejścia. Tam Niyah Elbaz przerwała zaklęcie, pobieżnie obejrzała ranę, przytknęła do niej zawiniątko zawierające kojące liście *lehtesim,* zarzuciła na głowę kaptur i zniknęła w głębi ogrodu.

IV – Pytania i decyzje

„To ten właśnie moment". Jeremiasz Galbo starał się ogarnąć w głowie zamęt: te wszystkie nawiedzające go myśli, raz wywołujące euforię, raz przepowiadające kłopoty. „To ta chwila, kiedy wydarzenia zaszły już za daleko, by się wycofać, ale wciąż jeszcze pozostało wiele zagadek, pytań i zbyt mało wiemy, by dobrze ocenić sytuację".

Dekurion Berg został opłacony i wyraził ochotę na dalszą współpracę, choćby zaraz, jeszcze tego wieczora. Ludzie pojmani w kamienicy zostali podzieleni na „przypadkowych domowników" i tych, którzy wiedzieli co nieco o losie dziecka – lub nawet współpracowali z porywaczami. „No właśnie, co nieco". Będący wśród nich mięśniak został poważnie ranny, ledwie mówił, a i tak niewiele wiedział. I jemu raczej można było zawierzyć. Pozostała dwójka to cwani, trudni do złamania zawodowcy. Jeden, wydawać się mogło, przewodzący grupce też oberwał w udo, od krasnoluda. Zapewne wiedział sporo, ale wyciągnięcie z niego informacji mogło potrwać. Każdego człowieka można było zmusić do mówienia. Tyle że drużyna nie miała czasu, a na dodatek przewodził jej rycerz.

„Cholerny idiota. Idiota, by tak rzec, z zasadami".

Niyah Elbaz od pierwszej chwili proponowała przesłuchanie za pomocą magii. Zapowiedziała jednak, co prawdopodobnie spowodowało niechęć Ragnara, że jeśli przesłuchiwani będą się opierać, a czasu jest za mało na finezję, będzie musiała bardzo ostro ich potraktować. Dodała też, że może to spowodować ich *wypaczenie*, co dla zwykłego człowieka, nieznającego się na tajnikach Sztuki Umysłu, oznaczało zapewne postradanie rozumu. I *światły* panicz określił to jako ostateczność. Teraz dwójką pojmanych zajmowali się wynajęci ludzie, znajomi Koryntiasza Szramy, a czarodziejka oddaliła się dokądś po rozmowie z rycerzem. Dwaj oprawcy, jeden z pięściami jak bochny chleba, a drugi z jadowitym uśmieszkiem błąkającym się po kącikach ust, byli skuteczni. Kiedy Ragnar nie patrzył zbyt uważnie, naciskali mocniej, co przyniosło pewne efekty.

Jeśli wierzyć temu, co zdradzili przesłuchiwani, dziecko trzymane było gdzieś w Kieszeniach, jak nazywano dzielnice nędzarzy. Problem polegał na tym, że biedne części miasta rozciągały się na całym zachodnim brzegu, od Pamos aż po Grimeę, przedzielone jedynie wyspą Famis i Zachodnim Bastionem. To był olbrzymi teren, dodatkowo zapomniany przez władze. Za porwaniem miał stać niejaki Biały Pies, samozwańczy obrońca biednych kontrolujący sytuację w ubogich dzielnicach. W rzeczywistości był zapewne władcą złodziei, morderców i dziwek, a biedota podziwiała jego siłę i wpływy. Dla Galbo i reszty drużyny było jasne, że wyciągnięte informacje nie były tymi cennymi, miały na celu jedynie zniechęcenie do działania i przestraszenie ewentualnych poszukiwaczy.

Tylko że tutaj właśnie, gdzie inni powinni odpuścić, Galbo zaczynał odczuwać coś więcej. Pojawiały się dodatkowe pytania. Intrygujące były kulisy porwania i próby nawiązania kontaktu.

Szrama i Paulus zlustrowali ogród Popperów. Małą Gratię uprowadzono wieczorną porą, tuż przed ucztą wyprawianą w głównej willi. Porywacze stali się również zabójcami; przy fontannie, obok altany, w której przesiadywała córka Erstena Poppera, znaleziono ciała pomocnika rządcy domu i młodej służki, przy furcie zginął jeden ze strażników, a drugi skonał od ran kilka godzin później. W głębi ogrodu leżało jeszcze ciało minstrela. Wszystkim zadano ciosy sztyletem lub długim nożem, sprawnie i szybko. Wyjątkiem był ranny strażnik. Tutaj albo ktoś po prostu spartaczył robotę, albo przyczyna leżała gdzie indziej: rozerwano mu gardło niechlujnie i jakby w pośpiechu. Konając, próbował ponoć przekazać coś opiekującym się nim ludziom, ale nie zdołał. Po oględzinach miejsca Paulus Brega zawyrokował, że porwanie przeprowadzono bez użycia magii. Należało założyć, że całe przestępstwo było dziełem niezwykle sprawnych, wręcz elitarnych morderców lub że któraś z ofiar, a może kilka z nich, było zamieszanych w owe działania. I pozbyto się ich dla zatarcia śladów.

Jeszcze ciekawiej robiło się, gdy wzięło się pod uwagę fakt, iż willa Popperów była obserwowana. Ragnar był pewien, i sprawdził to wielokrotnie za pomocą czarodziejskiej lunety, że nie było innych wypatrywaczy niż ci, których drużyna ujęła. W wysokim budynku gospodarczym należącym do Popperów, ale poza obrębem głównego majątku, obecnie używanym jako spichlerz, pojmano trzech ludzi.

Pierwszy był wynajęty tylko do dostarczania pokarmu. Koryntiasz Szrama złapał drugiego w dolnej części budynku, ale o całej sprawie wiedział on niewiele więcej, jedynie przekazywał wieści od zmieniających się co kilka godzin obserwatorów. To on doprowadził drużynę do kamienicy na Pamos. Nie było czasu, by dokładnie przesłuchać trzeciego z pojmanych, obserwatora, ale tego akurat zmusił do mówienia Ziggo Bragg. Jeremiasz nie podejrzewał krasnoluda o talent w tej akurat materii, ale z drugiej strony, przesłuchiwany też nie wyglądał na wprawnego złoczyńcę. Powiedział jednak coś dziwnego:

– Nie, panie, nie miałem obserwować całego domu. Nie widziałbym stamtąd wszystkiego. Mieliśmy wyraźny rozkaz. Rankiem i wieczorem na balkonie pojawiał się człowiek w żółtej szacie, zakapturzony – i nijak nie widziałem oblicza. Przerysowywałem znaki, co je pokazywał na pergaminowej karcie.

To rzucało na całą sprawę nowe światło. Najwyraźniej, ktoś z wewnątrz wspomagał porywaczy. Nie udało się rozszyfrować spamiętanych przez więźnia znaków, ale fakt pozostawał faktem. Trudna sprawa przeradzała się w paskudną.

Najęcie drużyny Ibena Guderiona, a co ważniejsze, jej dramatyczny los – to kolejna zagadka. Jedna z najlepszych, według słów Szramy, kompania najmitów i znawców miejskich działań została najwyraźniej wpędzona w pułapkę. Pracowali dla Poppera ledwie dwa dni, niewiele ustalili w kwestii samego porwania, ale pech chciał, że porywacze wtedy właśnie

przekazali swoje żądania. Pech, bo przekazanie okupu skończyło się rzezią. Nikt z drużyny nie przetrwał, a ciała samego Guderiona do teraz nie odnaleziono. Nie wiadomo kto wpadł na brzemienny w skutkach pomysł, by zamiast okupu wrzucić do sakw kamienie, a moment spotkania wykorzystać jako przełom mający doprowadzić do miejsca ukrycia Gratii. Nikt z ludzi Poppera, nawet tytułujący się wszechwiedzącym Tertio, nie znał wysokości okupu. To pozostało tajemnicą Erstena i jego brata Klarusa.

Ulica mówiła o wstrząsających wydarzenia sprzed dwóch dni. Szeptano w gospodach nad kuflami piwa, w średnio zamożnych zakątkach, a w biedniejszych wspominano całkiem głośno jak to „dumni i najedzeni do syta szlachetnie urodzeni bezbożnicy próbowali po raz kolejny uprawiać swoje podejrzane interesy na terenie Kieszeni". Nie precyzowano, o co dokładnie chodziło, zresztą sama opowieść taka zapewne miała być – mętna i wprowadzająca w błąd. Ani Plac Nad Otchłanią, gdzie doszło do dramatu, nie był częścią dzielnicy nędzarzy, choć doń przylegał, ani drużyna Guderiona nie składała się w większości z wysoko urodzonych. Komuś zależało na rozprowadzeniu takich właśnie plotek, pełnych popularnych wśród gawiedzi narzekań na niedolę biednych i niesprawiedliwą pozycję bogatych. Ani słowa o porwanej i okupie. Pewnikiem jakąś rolę w tym wszystkim odgrywał tajemniczy Biały Pies. Niestety Galbo miał zbyt mało czasu, by przyjrzeć się bliżej jego działalności.

I to było sednem problemu. Brakowało im czasu. Siedzieli w najętym domu kolejne godziny, próbując dowiedzieć się jak najwięcej od torturowanych. Zapadł zmrok, a oni przegryzali się przez kolejne zagadki, które rodziły dalsze pytania.

Jeremiasz Galbo dostrzegł wchodzącego do izby Ragnara. Nordyjski rycerz był zmęczony, ale upór na jego twarzy wciąż pozostawał zauważalny. I to było zaskakujące. Ragnar powiedział na spotkaniu z Tertio, że ich drużyna jest mała, lecz ma ogromną motywację do działania. To było związane z wydarzeniami na wyspie czarnoksiężnika. I z chłopcem o imieniu Gaspar, uczniem czarodziejskiego fachu. Galbo nie był na wyspie i nie do końca rozumiał opowiadaną przez rycerza historię. Ale reszta drużyny, nawet Koryntiasz Szrama, zdawała się wierzyć w to, że niezwykła moc młodego maga splątała jego los z losem drużyny. Ustalenie miejsca pobytu Gaspara stało się celem.

Jeremiasz uważał się przede wszystkim za człowieka interesów. Jego rodzina specjalizowała się w sprzedawaniu swoistego towaru – informacji. Doradzała i wspierała najemników, awanturników i w zasadzie każdego, kto dobrze zapłacił. I wielokrotnie w ciągu ostatnich trzech miesięcy handlarz informacji zastanawiał się, czy nie porzucić drużyny, nad którą w naturalny sposób przejął przywództwo Ragnar ze Svero. Działania grupy mniej miały do czynienia z zarabianiem, a bardziej przypominały pogoń za nieistniejącym widmem. Właściwie to dopiero ostatnie dni i sowite wynagrodzenie zapowiadane przez Erstena Poppera zmieniły pogląd Jeremiasza na sprawę. Nie był on co prawda wojownikiem, ale pomagając drużynie i organizując jej działanie, liczył oczywiście na sporą część z nagrody.

„Przynajmniej w tej kwestii, przeklęty honor rycerski jest po mojej stronie", pomyślał, wskazując Ragnarowi miejsce na ławie.

Szlachcic zasiadł ciężko i spojrzał na rozłożone przed Jeremiaszem pergaminy.

– Próbujesz połączyć to w jedną całość?

– Zapewne bez skutku. Ale prawdą jest...

– Że sprawa nie jest tak prosta jak z początku się mogło wydawać? – Słowa Norda zabrzmiały wyjątkowo gorzko. – Tylko czy zmienia to naszą obecną sytuację?

– Nie... – Galbo zawiesił głos, a zaraz potem dokończył: – I tak zarazem. Wiemy, że współpracownik porywaczy działa wewnątrz domu Popperów. Może być i tak, że jest członkiem rodziny. I może jest, czego nie powinniśmy wykluczać, pomysłodawcą całego zamieszania.

– Użyłeś zgrabnego słowa, panie Jeremiaszu. – Ragnar zmrużył oczy. – A jeśli kluczem do wszystkiego jest zamieszanie właśnie?

– „Nic nie jest takim, jakim się zdaje być u początków"?

– Dokładnie. Gdyby w całej sprawie nie chodziło o złoto, gdyby nie liczył się okup, to los ludzi Guderiona nabrałby sensu. To znaczy, właściwie ich bezsensowna śmierć zyskiwałaby sens, jakkolwiek dziwacznie to brzmi. Raz, że okupu mogło nie być, a dwa, że zdrajca zapewne podpowiedział im, by spróbowali oszustwa. I w ten sposób pozbył się najemników.

– Może jest wysoko postawiony w rodzinnej hierarchii, skoro zakładamy, że był władny doradzać w takiej kwestii. – Handlarz potarł dłonią podbródek. – Pamiętaj, panie rycerzu, że niewielka grupa osób wie o porwaniu, bo jak wspomniał Tertio, jest to ważne dla stabilności interesów Popperów.

– Samego Erstena możemy chyba wykluczyć...

– Raczej... Ale jeśli nie chodzi o okup, po jakie licho porwano pannę?

– Będziemy musieli... – rycerz urwał w pół słowa i spojrzał na wejście do komnaty.

Niyah Elbaz wmaszerowała do niej szybko, omiotła spojrzeniem rozmawiających i skierowała się do drzwi prowadzących do piwnic. Nim zdążyli do niej cokolwiek powiedzieć, kobieta już zamykała za sobą odrzwia. Galbo zauważyli jej przygarbioną sylwetkę, lekką bladość na twarzy i z trudem skrywane oznaki bólu. Wraz z Ragnarem rzucili się za nią.

Przy więźniach znajdowali się dwaj oprawcy i łucznik. Czarodziejka nie zwróciła uwagi na Szramę i w kilku niewybrednych słowach rozkazała wynajętym zbirom się wynosić. Zmieszani mężczyźni niewyraźnie popatrzyli na Koryntiasza, jakby pytając go o zdanie. Ten spojrzał na twarz kobiety i ruchem głowy wskazał im wyjście.

Niyah Elbaz przyjrzała się dwóm ludziom przywiązanym do solidnych krzeseł, potem spojrzała na członków drużyny, westchnęła i wyrzuciła z siebie:

– Wiem, do cholery, że nie podoba ci się, panie Ragnarze, to, że gdy z nimi skończę, mogą zostać ochłapami mięsa i niczym więcej, ale ty też mordujesz ludzi mieczem, gdy jest to

konieczne. Wiem, że macie powody, by mi nie ufać, ale właśnie przed chwilą ktoś podający się za naszego zleceniodawcę próbował mnie zgładzić. I nie ma czasu do stracenia. Wierzę, że jeśli szybko dowiemy się, gdzie jest dziecko, to zakończymy sprawę, zanim spotka nas wszystkich los drużyny Guderiona.

***

– To stanowczo za dużo. – Ragnar ze Svero kręcił głową i wykrzywiał twarz w grymasie złości. – Pewnych granic nie powinniśmy przekraczać.

– Już kilka przekroczyliśmy – mruknął Szrama. – Ale cóż, jak prawią pobożni: *Este vremes*[xviii]...

W izbie byli w tym momencie wszyscy. Galbo wyglądał na żywo poruszonego, pił rozwodnione wino, siedząc na skraju ławy. Koryntiasz Szrama oparł się o ścianę i oglądał swoje buty, od czasu do czasu rzucając pojedynczą uwagę. Krasnolud raczył się piwem i zagryzał podpłomykami polanymi mięsnym sosem, jakby usłyszane przed chwilą informacje zupełnie go nie obchodziły. Czarodziejka siedziała tuż obok, nadal blada; widać, że nie doszła jeszcze do siebie po gwałtownym i dramatycznym użyciu swoich magicznych talentów.

Na środku naprzeciw siebie stali Ragnar i Paulus Brega, spierając się ostro.

– Zgodziłem się na wiele... Lepiej powiedzieć, że na wiele pozwoliłem...

– Nikt cię nie... – zaczął Szrama, ale rycerz przerwał mu.

– Tak, do cholery, nikt mnie nie mianował przywódcą, ale też nikt się nie palił do przewodzenia. Trzeba było działać po tym, co się wydarzyło...

Ragnar zamilkł.

– Po tym, co spotkało chłopca... – Niyah wypowiedziała te słowa bardzo powoli.

Krasnolud mruknął w głębi brody:

– Mówiłem, żeby jej nie pozwalać na zaglądanie do swoich łbów, ale oczywiście nie chcieliście słuchać. Jednak dupa to dupa, czasami przysłania to, co nazywacie zdrowym rozsądkiem.

– Dziękuję, za komplement, panie Bragg – syknęła czarodziejka – ale mylisz się. Mogłabym próbować *włazić* do ich łbów, widziałeś, co uczyniłam z naszymi więźniami. Co prawda Koryntiasz Szrama ma w żyłach Starszą Krew, Paulus ćwiczył obronę umysłową, a rycerz też niejedno umie, ale potrafiłabym to zrobić. Umówiliśmy się inaczej, a ja dotrzymuję danego słowa. Wy zaś nie trzymacie języków na wodzy. Słowo do słowa i domyśliłam się, że Gratia Popper nie jest jedyną poszukiwaną przez was osobą.

– Czarna Magia ci pomogła w osądzie? – Koryntiasz zabrzmiał nieprzyjemnie.

– Nie ukrywałam tego przed wami, po prostu nie pytaliście, czym dokładnie się param. Gdyby nie Domena Mroku, nie wyciągnęłabym szczegółowych informacji od więźniów. Musiałam ich zastraszyć. Połączyłam to ze Sztuką Umysłu i teraz wiemy wszystko.

– Uspokójmy się. – Ragnar spojrzał po twarzach zebranych w komnacie. – Przemyślmy to raz jeszcze. Mnie też się bardzo nie podoba pomysł z brnięciem w Mrok, korzystaniem z jego Darów. Skąd ten pomysł, Paulusie?

– Żeby była jasność. Tam, gdzie mnie wychowano i wyszkolono na czarodzieja, każda z Domen była wolną. Przyzwalano nam na naukę w pełnym spektrum barw. – Mag mówił wolno, niskim głosem. – Ja wybrałem Ścieżkę Żywiołów. Ale poznałem wielu, którzy zainteresowali się bardziej mrocznymi stronami Magii. W Konstanzie spędziłem sporo czasu, znam tutaj kilku specjalistów. Kiedy stało się jasnym, że trudno będzie dotrzeć do twierdzy zajmowanej przez Białego Psa na własnych nogach, pomyślałem o innej drodze. Jedynej rozsądnej, w miarę bezpiecznej i, jak mniemam, zaskakującej dla naszych wrogów.

Zapadła cisza. Niespodziewanie jako pierwszy odezwał się krasnolud:

– Dla mnie to szaleństwo, ale przyzwyczaiłem się, przebywając z wami, że to, co szalone, powoli staje się normalnością. Więc nie wiem, czy chcecie głosować czy inaczej to rozwiążemy, ale jestem gotowy, żeby polecieć. Na czymkolwiek, co tam sprowadzicie, czy wywołacie.

Ragnar zdziwił się, słysząc to wyznanie. Zauważył także, że Galbo również patrzy z niedowierzaniem, podobnie Niyah i Paulus. Za to Koryntiasz roześmiał się serdecznie.

– No niech mnie! Panie Bragg, a jeszcze nie tak dawno problemem było wejście do chybotliwej łódki.

– Jeśli liczysz na komentarz, wesołku, to się przeliczysz. Tyle mam do powiedzenia.

– Co to za stworzenia? – Rycerz popatrzył w oczy Paulusowi. – Bądź precyzyjny, jeśli łaska.

Zapytany wciągnął powietrze i odpowiedział, starannie dobierając słowa.

– Czarnoksiężnicy nazywają je Jeźdźcami Nocy lub Nocnymi Skrzydłami. To swoistego rodzaju przywołańce czy też wywołańce, projekcje Sztuki Mroku, stworzone dzięki zaklęciom. Pochodzą ze sfery znajdującej się tuż obok naszej rzeczywistości. Ale nie są to, jak się obawiałeś, demony. Ten czar czarnoksiężnicy ćwiczyli przez stulecia. W obecnej formie jest stosunkowo łatwy do zastosowania, tylko trwa dosyć długo. Przyzwana istota działa inaczej niż te będące prawdziwymi Istotami Mroku. Nie posiada własnej woli, musi być stale kontrolowana przez maga. I z nastaniem dnia znika.

– Idealnie. My z nastaniem dnia też możemy zniknąć. – Krasnolud splunął. – A już na pewno panienka Poppera. Czasu chyba nie ma zbyt dużo, co?

– Kwestia zapłaty. – Przypomniał sobie Galbo.

– Nie będę kupczył przeklętym artefaktem – sapnął z uporem Ragnar.

– To jedyna opcja. – Paulus zbliżył się. – Wszak nie mamy pieniędzy. Za trzy zaklęcia, bo tyle potrzebujemy, zapłacimy słono. A Popper nie da nam dodatkowego złota. Nie ma na to czasu.

– Zdajecie sobie sprawę, do czego mogą go użyć? To czarnoksiężnicy.

– Jak i nasza baba. – Bragg wskazał na Niyah, po czym popił z kufla.

Nie było komentarza. Za to Paulus napierał, cały czas mówiąc jednostajnym, spokojnym głosem:

– Pan Koryntiasz wypowiedział się już w tej kwestii. Nie nasza sprawa, jak użyją przedmiotu. Takie jest życie… My mamy wyraźny cel. A właściwie skomplikowany system zależności jednych celów od drugich. Potrzebujemy tych zaklęć. A im szybciej zapłacę, tym szybciej rozpoczną przygotowywanie czarów.

– Przyłączam się, jeśli można, do głosowania. Popieram maga. – Łucznik wyraźnie poweselał. – I prosiłem, panie Paulusie, mówcież do mnie Szrama…

Ragnar zmrużył oczy i popatrzył na Koryntiasza.

– Coś mi się przypomniało. Na wyspie wspominałeś o możliwościach sprzedaży różdżki. Bardzo korzystnych. Brzmiało to tak, jakbyś był bardziej zainteresowany magicznym przedmiotem niż samym ubiciem czarnoksiężnika.

Cisza, która zapadła po słowach szlachcica była pełna napięcia. Niyah uważnie przypatrywała się zgromadzonym. Szrama i Galbo nieudolnie próbowali ukryć porozumiewawcze spojrzenia. Rycerz zacisnął szczęki.

– Panowie, chyba nie wszystko sobie mówicie wprost. A powiadają, że to niewiasty tak właśnie czynią. – Czarodziejka poprawiła się na krześle, krzywiąc się z bólu. – Będziemy teraz roztrząsać dawne sprawy? Czy rzeczywiście podejmiemy szybkie decyzje?

– Głosujmy. – Ragnar pokiwał głową. – Nie podoba mi się to, co czynimy, ale zgadzam się, że nie mamy wyjścia. I zapewne któregoś dnia odpowiem za to wszystko przed Trzynastoma i przed moimi Przodkami. A co do naszych zadawnionych kwestii, poruszymy je przy najbliższej okazji. W sprzyjających okolicznościach.

– Nie mam tutaj zapewne pełnego głosu, bo w walce wam i tej nocnej eskapadzie niewiele pomogę, ale jak tak liczę, to chyba sprawa jest przesądzona. – Jeremiasz Galbo popatrzył po zebranych.

Ragnar ze Svero odczekał chwilę, po czym podszedł do sakwy leżącej pod ścianą i przez chwilę ją przetrząsał. Wyciągnął z jej wnętrza zawiniątko i podał Paulusowi. Mag chwycił pakunek i zamyślił się.

– Myślę, że powinniśmy być gotowi około północy. Dobierzcie się w pary. Każda z istot uniesie trzy osoby, wliczając czarnoksięskich pomocników, którzy będą sterować lotem i pilnować stabilności zaklęcia.

– Czyli mamy chwilę na przygotowania. – Niyah podniosła się. – Bo jest jeszcze jedna sprawa, którą możemy zająć się w ciągu tego wieczora, nim wyruszymy po dziecko. Mam diabelską ochotę porozmawiać twarzą w twarz z naszym zleceniodawcą. Wyjaśnić mu to i owo i zażądać z kolei wyjaśnień od niego.

– Jak? – Ragnar spojrzał na nią.

– W domu Erstena trwa uczta. Orgia na kilkadziesiąt osób, z muzyką, tańcami i mnóstwem jadła. Zaproszeni goście muszą stawić się w Nocnych Maskach.

– To odwieczny zwyczaj bogatych mieszczan i części szlachty pochodzącej z Konstanzy – wtrącił Galbo. – Ci zepsuci durnie uważają, że nosząc antyczne togi i tuniki, z twarzami skrytymi pod maskami, są nocą innymi ludźmi niż w dzień, i że wolno im czynić te rzeczy, o których za dnia nie śmieliby nawet pomyśleć.

Krasnolud splunął pogardliwie. Czarodziejka kontynuowała.

– Moje zasady dotyczące pracodawców zabraniają mi stosowania magii przeciw nim i ich służbie, ale pierwszy raz zdarzyło mi się, żeby pracodawca, lub ktoś za niego się podający, próbował mnie skrzywdzić. Wejdziemy tam jako goście, a moje zaklęcia zapewnią nam anonimowość.

– Wejdziemy? – Ragnar lekko przekrzywił głowę.

– Pana krasnoluda raczej nie przemycimy, pan Galbo, jak wspomniał, w nocnych eskapadach się raczej nie specjalizuje, a czarodziej załatwia nasze najważniejsze sprawy. – Niyah Elbaz rozciągnęła usta w uśmiechu. – Ale ty, mości Ragnarze, co oczywiste, i pan Koryntiasz, jakże elokwentny i obeznany w sztuce wymowy, idealnie się nadacie na moich towarzyszy.

Rycerz westchnął, a Koryntiasz zwany Szramą lekko się uśmiechnął.

***

Willę wypełniała muzyka. Spokojne dźwięki harf i kilku innych strunowych instrumentów, których nazw Ragnar nie znał, łączyły się z przenikliwymi tonami piszczałek i fletów. Patio o ogromnych rozmiarach, będące właściwie wewnętrznym ogrodem, było spowite delikatną mgiełką. Wonne olejki, kadzidła i shaeidańskie perfumy intensywnie drażniły jego nozdrza. Ragnar ze Svero przywykł do innych rodzajów ucztowania.

Zamiast popularnego na Północy i w większej części Cesarstwa suto zastawionego masywnego stołu znajdującego się w centrum, na dziedzińcu umieszczono kilkadziesiąt miejsc wypełnionych jedzeniem. Mniejsze stoły, kamienne postumenty, skrzynie i tym podobne pokryto barwnymi kawałkami tkaniny i ustawiono na nich misy pełne owoców, mięsiwa, ryb i serów. Wszędzie dookoła rozlokowano potężne amfory i dzbany z winem. Nie było żadnych krzeseł ani podwyższenia właściwego dla pana domu lub władcy. Biesiadnicy siedzieli tam, gdzie mieli na to ochotę. Na równo przyciętej murawie, zielonej i soczystej, wyłożono narzuty i koce. Gdzieniegdzie ustawiono specyficzne łoża, które wyglądały jak te znane ze starożytnych rysunków. Pierwsi Cezaryjczycy w odległych czasach ucztowali na półleżąco. Popperowie, jak i reszta bogatych kupców z Konstanzy, naśladowali w swoich rozrywkach dzisiejszą cesarską szlachtę. Wszyscy oni chcieli zaznać tych antycznych *przyjemności*.

Kolejną fanaberią były odzienia. Szerokie i obszerne togi zwijane w niezrozumiały dla nordyjskiego szlachcica sposób. Mężczyźni poruszali się w nich powoli, dumnie prezentując swoje bogactwo – szaty były wielobarwne i ozdobione naszytymi nań ozdobami z pereł, złota i srebra. Kobiety okrywały się tunikami pozbawionymi rękawów, także bogato uszytymi, które przy poruszaniu się ukazywały uda właścicielek. Wedle słów Niyah, Koryntiasza i Galbo, którzy znali tutejsze zwyczaje, kobiety przybywające na te specyficzne uczty, były żonami, córkami, faworytami lub damami najętymi do towarzystwa. Ragnarowi nie udało się zauważyć różnic; wszystkie niewiasty, podobnie jak i mężczyźni, skrywały swoje oblicza pod maskami. Zasłony na twarz wykonane były jako małe dzieła sztuki. Pozłacane i posrebrzane, zakrywały albo część twarzy, albo jej całość. Wtedy posiadały nawet wyrzeźbione rysy, nosy i szpiczaste podbródki.

Poza gośćmi i gospodarzami patio zapełniała służba ubrana w żółtobiałe szaty, proste, ale przypominające swoim krojem starożytne tuniki, oraz muzykanci i tancerze obu płci. Odzienia artystów bywały różne, od obszernych szat przypominających togi, aż po ubogie przepaski biodrowe. Ciała tancerzy i tancerek pokrywały tatuaże i malunki, w których można było rozpoznać południowe wzory.

Rycerz po raz kolejny zaplątał nogi w obszerną, powłóczystą togę. Strój miał kolor zakrzepłej krwi, był zdobiony złotymi nićmi. Ragnar nerwowo szarpnął materiał i skrzywił się ze złością. Na szczęście jego grymas przysłaniała pozłacana maska. Niewygodna szata i obce zapachy i aromaty spowodowały, że w jednym momencie pobiegł myślami do ośnieżonych tallyńskich szczytów wznoszących się nad Doliną Tsuaan. Wspomniał rodzinne włości, gdzie pozostawił ojca i młodszych braci. I gdzie uczty wyglądały tak, jak wyglądać powinny.

Idący obok Szrama noszący błękitno białą szatę zapewne nie męczył się w niej tak jak Ragnar, ale wyglądał równie niepoważnie. Jego maska przypominała oblicze wściekłego pyszałka o długim, zakrzywionym nosie. Za to Niyah wyglądała olśniewająco. Czerwono-czarna tunika, na którą zarzuciła lekki, zwiewny kawałek tkaniny, tylko podkreślała jej smukłą figurę. Wcześniej odziana była w długą czarną spódnicę, na którą nakładała kaftan i płaszcz. Teraz, gdy poruszała się, wyraźnie widać było jej kształtne uda. Czarodziejka była Lothanijką, mieszkanką Burzowego Wybrzeża, a jej przodkowie szczycili się shaeidańskim pochodzeniem. Fizyczne piękno i delikatne ruchy –Niyah Elbaz zdecydowanie odziedziczyła te cechy po swoich przodkach.

Gdy weszli pomiędzy ucztujących, Ragnar upewnił się, że pochwa długiego noża, którą umieścił pod togą, jest odpowiednio przypięta i umożliwia szybkie wydobycie oręża. Żadne z nich nie miało przy sobie długiej broni, co może nie było problemem dla Niyah lub dla Koryntiasza sprawnie posługującego się krótkimi ostrzami. Rycerz czuł się źle bez swojego szerokiego nordyjskiego miecza.

Czarodziejka powiodła ich w prawo, pod arkady, gdzie w zacienionych miejscach kilka par raczyło się winem i swoim intymnym towarzystwem. W kilku przypadkach zamiast par

widać było większą liczbę ludzi oddających się miłosnym uniesieniom. Szrama trącił Ragnara ramieniem, gdy mijali jedną z grupek, a szlachcic pokręcił tylko głową z dezaprobatą. „Cholerni wielbiciele antycznych czasów. Ciekawe, ilu z nich za dnia piastuje poważne, świętobliwe stanowiska?"

Na kamiennej podłodze ułożonej z polerowanych kafli walały się części garderoby, niektóre zapewne niebotycznie drogie. Rycerz spojrzał na swoją togę i zastanowił się po raz kolejny, czy ogłuszonym i skrępowanym gościom, od których Koryntiasz, Niyah i on „pożyczyli" odzienia, jest niewygodnie. Byli całkowicie pijani i tak czy inaczej niewiele zapamiętają z nocnych wydarzeń. Niyah, tuż po tym, jak dostali się do majątku Popperów, skierowała całą trójkę do ogrodów. Tak jak zakładała, wśród gęstwiny krzewów i wysokich ozdobnych traw można było znaleźć kilkunastu biesiadników świętujących poza willą. Krzywda im się nie stała, mogli zaś dopomóc drużynie w niepostrzeżonym dostaniu się na ucztę. Strażnicy przy bocznej furcie także „dopomogli" – czarodziejka użyła na nich Mocy Umysłu: nie byli świadomi, kogo wpuszczali przez ogrodowe odrzwia, w ich pamięci nie pozostał żaden ślad z tamtej chwili.

„Popper powinien być przy wschodniej ścianie, w rodowej altanie", głos Niyah rozbrzmiał w głowie Ragnara. „Odwiedzimy go".

Wspomniana budowla była potężną drewnianą konstrukcją pokrytą winną latoroślą. Do wnętrza prowadziły jedno duże i dwa mniejsze wejścia. Wszystkie zasłonięte były miękkimi tkaninami zielonkawej barwy. Nikt nie trzymał straży, więc wślizgnęli się tam prawie niezauważeni. Wewnątrz paliły się niezliczone ilości kaganków i świec, rzucające chybotliwe cienie, gdy lekki wietrzyk przedostawał się z zewnątrz. Wysoki mężczyzna o sporym brzuchu rozsiadł się w głębi na miękkim łożu wymoszczonym poduszkami. Dwie kobiety odziane w zwiewne tuniki, które zdecydowanie nie zasłaniały ich wdzięków, karmiły grubasa. Dwie kolejne siedziały mu na kolanach i głaskały go po odsłoniętym torsie. Ragnar powstrzymał się od pogardliwego splunięcia, a Szrama cmoknął z zachwytu. Po obu stronach głównego łoża umieszczono podobne leża, ale mniej wystawne, zasiadali na nich goście, jedząc i rozmawiając półgłosem.

Z cienia wyłonił się wysoki postawny mężczyzna. Jeszcze zanim się odezwał, szlachcic rozpoznał w nim osobistego człowieka Erstena Poppera – Tertio. Nosił on srebrzystą maskę z fantazyjnymi dodatkami powyżej czoła, ale nieskrywającą podbródka i ust.

– Zacni panowie i ty, pani – zaczął, skłaniając się lekko. – Wybaczcie, lecz nasz gospodarz nie ma w tej chwili dla was czasu.

Zastąpił im drogę.

– Chcieliśmy pogratulować doboru muzykantów i tylko się przywitać – mruknął Koryntiasz Szrama w głębi maski.

– Czas na to się znajdzie, drogi panie. – Tertio nie ustępował. – Tyle że niebawem.

Niyah wyciągnęła dłoń w kierunku ochroniarza. Trzymała w niej mały biały kwiat zerwany uprzednio. Wypowiedziała kilka słów w języku wspólnym, silnie podkreślając śpiewny akcent Sahil Yel:

– Jak biały lew chronisz tego, który dla ciebie jest najważniejszym. Wielu pozazdrościć może tak oddanego sługi. Ale i zarazem może współczuć.

– Nie rozumiem, pani? – Ochroniarz pokręcił głową.

– Bo oddany sprawie człowiek jest zaiste słabym. Ślepym staje się ten, kto długimi chwilami spogląda w blask świecy. – Czarodziejka dmuchnęła w dłoń, a płatki kwiatu uniosły się nad twarzą mężczyzny. Ragnar zrozumiał. W jednej chwili zaufany człowiek Erstena Poppera znieruchomiał. „Przeklęta Sztuka Umysłu. Przeklęta, ale jakże przydatna".

Niyah Elbaz klasnęła w dłonie i gestem przepędziła dziewki. Popper niepewnie rozejrzał się dookoła. Nie nosił maski, a togę miał rozchełstaną. W półmroku widać było jego gładko ogolone oblicze i krótko przycięte włosy.

– Tertio?

– Nie usłyszy cię, mości liczmistrzu. – Szrama wpakował się między poduchy i zadrwił. – Tak bardzo się starał, ale nie potrafił odpędzić myśli naszej czarodziejki. I zarazem waszej, rzecz jasna.

– Co się tutaj wyrabia? – Popper chciał krzyknąć, ale sztylet trzymany przez Koryntiasza dotknął jego szyi. Wyszeptał tylko z przestrachem: – To ty, Niyah?

– Ciszej, Erstenie. Nic ci nie grozi. Przynajmniej z naszej, mojej strony. Ale ktoś inny igra z twoim życiem. Ktoś cię zdradza.

Czarodziejka usadowiła się obok kupca, jednocześnie zdejmując maskę. Ragnar siadł na rogu łoża, bacznie się rozglądając. Chwilowe zamieszanie nie wzbudziło podejrzeń tych kilku osób leżących na bocznych łożach. Nadal jedli i cicho rozmawiali, a od czasu do czasu słychać było śmiech i niezbyt głośne westchnienia. Z zewnątrz dobiegały dźwięki muzyki.

– Powinieneś dobrze zapłacić wynajętej drużynie, bo nie dość że stara się odzyskać twą utraconą córkę, to jeszcze dba o twoje własne bezpieczeństwo. – Niyah mówiła wolno, nie patrząc na kupca. Ochroniarz poruszył się mechanicznie, schylił się i przysiadł u stóp łoża. Wtedy dopiero czarodziejka spojrzała na twarz Erstena Poppera i dodała: – Ktoś zapewne wpływowy i bliski rodzinie współpracuje z porywaczami.

– Jakżeż to?

– A tak właśnie. Kontaktował się z nimi z wnętrza domu. Pewnie zaplanował i samo uprowadzenie, do tego przekupił i wciągnął w spisek strażników. A ktoś z martwej już teraz służby mógł wiedzieć zbyt wiele. Na dodatek ów zdradziecki wpływowy osobnik maczał palce w tym, co spotkało ludzi Guderiona.

Popper milczał, więc czarodziejka kontynuowała:

– Powiedz nam, kto planował przekazanie kosztowności i kto zaproponował, iżby do sakw włożyć kamienie? I co najważniejsze, zdradź nam ile zażądali porywacze?

– Nie podobają mi się te pytania…

– Nam nie podoba się zaś, że możemy postradać zdrowie i życie – warknął Szrama w głębi maski, obracając sztylet w dłoni. – I to przez tajemnice naszego pracodawcy.

– Do rzeczy. Jak mam to rozumieć?

– Tak się złożyło, Erstenie, że ktoś podający się za twoją szanowną osobę próbował mnie zabić. Zaledwie chwilę temu, tuż po zmroku. Ten ktoś był na tyle śmiały, że atak przeprowadził w twoim majątku, w kaplicy poświęconej Galbenowi.

Popper nie odpowiedział, pokręcił tylko głową z niedowierzaniem. Niyah szepnęła:

– Za mało się postarali. Jak widzicie, jestem żywa, choć moja duma ucierpiała. Dałam się podejść, jak mała, ufna świątynna akolitka. Choć prawie ich dopadłam, tak prawdę mówiąc.

– Jak to jest, panie złotodzierżco, że takie cuda dzieją się pod twoim dachem, a ty albo nie wiesz w co się gra, albo wiedzieć nie chcesz? – syknął Koryntiasz.

– Czego tak naprawdę chcecie? – Kupiec zmrużył oczy. Czarodziejka przysunęła się i spojrzała mu w twarz.

– Szansy. Dla twojej Gratii i dla nas samych. Byśmy wszyscy, przez twoje tajemnice i interesy nie skończyli marnie.

– Przy okazji… – Koryntiasz uniósł maskę i wrzucił sobie do ust jedno z winogron, leżących na srebrnej tacy, wyposażonej w zdobione nóżki. – Niezły pomysł z tym przyjęciem. Nikt nawet przez moment nie pomyśli, że masz jakieś zmartwienie w głowie, kiedy tak dobrze się bawisz. Doskonała handlowa maska.

Niyah położyła dłoń na ramieniu łucznika i mówiła dalej:

– Dla wszystkich złoto zdaje się być cenniejsze niż krew. „Takie czasy", jak to mawiają ci, co wierzą w Trzynastu. Chcemy od ciebie pomocy. Wiedzy. I zrozum wreszcie, że robimy to dla twojego dziecka w pierwszej kolejności.

Kupiec znów milczał dłuższą chwilę. Ale odezwał się wreszcie:

– Jest dla mnie wszystkim, tylko ona mi została. I gdzieś mam to, czy ktoś wierzy w moje zapewnienia czy nie. Zrobię wszystko, by ją odzyskać. Oddam całe złoto, sprzedam każdy fragment mojej fortuny.

– Ile?

– Nie rozumiem…

– Ile chcieli za dziewczynę?

– Czterdzieści tysięcy w złocie, dwadzieścia w kamieniach i następne dwie dziesiątki w listach kredytowych.

Ragnar pokręcił głową z niedowierzaniem. Szrama głośno wciągnął powietrze i odezwał się:

– Wybaczcie, panie Popper, ale żadne dziecko nie jest tyle warte. Żaden dorosły zresztą też.

– Uważajcie, Koryntiaszu, na to, co mówicie do rodzica o krwawiącym sercu – szepnęła czarodziejka. – Jak chciałeś zebrać taką fortunę? To w ogóle możliwe?

– To szaleństwo. I to w tak krótkim czasie. Ale mógłbym to zrobić. Zrobię to.

– Jak?

– Tego nie mogę powiedzieć.

– Nie masz takich pieniędzy. Nie sam.

– Nie mogę…

– Co musiałbyś zrobić? – dopytywał Koryntiasz. Ale nie doczekał się odpowiedzi. Ragnar wpatrywał się w Poppera.

– Czy ją skrzywdzili? – Rycerz poczuł się nieswojo, słysząc własny głos dziwacznie dudniący w głębi maski.

– Niechby tylko spróbowali! – Ersten Popper wykrzywił twarz w gniewnym grymasie, ale zaraz uspokoił się i smutno uśmiechnął. – Vremes nad nią czuwa.

– Chyba nie tylko Vremes – Ragnar mówił wolno. – To właśnie od początku mi nie pasowało. Zresztą wspominał o tym wasz sługa Tertio. Porywacze nie pokusili się o dodatkowy przestrach, który skłania do szybszego działania. Nie skrzywdzili jej, nie podesłali wam ni skrawka jej skóry. Nawet wtedy, kiedy próbowaliście ich oszukać.

– Mądrze, panie Ragnarze. – Szrama kiwał głową z uznaniem. – Aż z przejęcia nie zapytam skąd taka fachowa wiedza z przestępczej dziedziny. Myślałem, że wasz żywot bliżej się sytuował turniejów i szranków niż uprowadzeń i skórowania.

Szlachcic zbył złośliwą uwagę, krzywo uśmiechając się pod pozłacaną maską. I kontynuował.

– Coś nam się widzi, że w całej awanturze, niestety, acz może to i dobrze, nie wasza córka gra pierwszą rolę.

– Nie rozumiem… – Kupiec potarł spocone czoło dwiema dłońmi.

– Kto z tobą ustalał wszelkie szczegóły? Zwłaszcza te, do których nie miał dostępu Tertio?

Popper zamarł z przerażoną miną. Odpowiedział bardzo wolno.

– Jest tylko jedna taka osoba, ale, na Trzynastu…

– Klarus. – Niyah zakryła usta dłonią.

– Mój brat? Ale dlaczego?

– Odpowiedz na wcześniejsze pytanie. – Ragnar rozejrzał się uważnie, odsłaniając maskę, i ściszył głos do szeptu. – Co musiałbyś zrobić, żeby mieć te osiemdziesiąt tysięcy?

– Sprzedałbym wszystko, co byłbym w stanie. I wszystko bym zastawił. W tak krótkim czasie nie ma szansy tego zabezpieczyć, więc…

– Wasze interesy ucierpiałyby na tym znacząco. Wasze, znaczy się, Popperów – drążył rycerz.

– Rodzina by się nie ucieszyła. – Szrama pokręcił głową, a Ragnar podsumował:

– Tak czy inaczej, twoja kariera jako głowy rodu obróciłaby się w niwecz.

Ersten Popper ukrył twarz w dłoniach.

– Ale dla ciebie to nie miałoby znaczenia. – Czarodziejka delikatnie położyła mu dłoń na ramieniu. – Bo odzyskałbyś Gratię. Przeklinaliby wszyscy Popperowie poza jednym. Poza Klarusem Popperem. Twoim naturalnym następcą.

– I dodatkowo nie dość że szczęśliwym, to jeszcze bogatszym o kilkadziesiąt tysięcy – dorzucił Koryntiasz.

– Nie skrzywdziłby jej.

– Dokładnie. I to on, na równi z Patronem, czuwa teraz nad jej życiem i zdrowiem. Jeśli prawdą jest, a wszystko na to wskazuje, że dziecko więzi Biały Pies, to twój brat pewnie nie raz ocalił jakąś część jej ciała. – Rycerz wycelował palcem w handlarza. – To mogło być sedno umowy między Klarusem a tym, który miał środki, żeby porwać dziewczynkę.

– Gdzie ten suczy syn? – Koryntiasz rozejrzał się odruchowo i zmarszczył brwi. – Z całym, rzecz jasna, szacunkiem dla waszej Popperowej matuli.

– Widziałem go z dwiema kobietami, nie dalej niż kwadrans temu. Był mocno pijany…

Szrama westchnął.

– Ty udajesz żałobę, on też odgrywa swoją rolę.

– Zabiję go…

– Powoli, spokojnie i delikatnie. – Ragnar chwycił Poppera za rękę. – Raz: twój brat nie wie, że to rozgryźliśmy. Niech tak zostanie. Na razie. Dwa: tylko on może ocalić dziecko, gdyby nam się nie powiodło. Musi ją kochać, prawie tak samo mocno jak wasze złoto i władzę. I to w całym tym bagnie wydaje się być jedynym pocieszeniem.

– Gdyby wam się nie powiodło? O czym mówisz?

– Mamy tak samo dużo wiary jak ty. I drugie tyle własnych powodów, by zrobić wszystko, żeby przyprowadzić ci córkę. – Nordyjski szlachcic skinął na Szramę i spojrzał na twarz Niyah. – Jeśli Trzynastu będzie nad nami czuwać, to stanie się to jeszcze przed świtem.

V – Na skrzydłach Mroku

Ragnar ze Svero nie wiedział, co przerażało go bardziej: potężne stworzenia zrodzone z Czarnej Magii czy istoty ludzkie – ich opiekunowie. Ale czy jeźdźcy byli w ogóle ludźmi? Kiedyś zapewne, ale obcowanie ze Sztuką Mroku wypacza.

Rycerz obserwował ich z niepokojem. Łudząco przypominali sługi czarnoksiężnika z wyspy na moczarach nieopodal Ringen. Do głowy napłynęły mu wspomnienia. I zdecydowanie nie były one miłe.

Trzej wysocy i odziani w luźne czarne szaty mężczyźni nie odzywali się. Wszelkie formalności załatwiał wysłannik ich mocodawców, z którym wcześniej rozmówił się Paulus. Teraz był środek nocy i wszystko zdawało się przygotowane. Na płaskim dachu budynku, jednego z większych w okolicy, na drużynę czekał transport: trzy upiorne wywołańce, jak nazywał je czarodziej. Prężyły swoje szyje zakończone bezkształtnymi głowami, rozpościerały potężne skrzydła. Tym ruchom towarzyszyły dziwne, niewytłumaczalne odgłosy, coś jakby chrzęst łańcuchów i świst wciąganego powietrza. Każdy fragment ich ciała wydawał się cały czas zmieniać, jakby zasysając z otoczenia mrok nocy.

„Plugawe ścierwo stworzone z mrocznej mgły". Rag nie mógł wyrzucić z głowy słów, które wypowiedział Koryntiasz, gdy tylko ujrzał te istoty. „To ścierwo jest naszą jedyną szansą", odpowiedział sobie w myślach. „Byłoby cholernie trudno dostać się do Psiej Baszty piechotą".

Niyah nie wyglądała ani na przerażoną, ani na przejętą widokiem Nocnych Skrzydeł. Monstra były częścią Domeny, którą władała czarodziejka. To była kolejna rzecz, która nie dawała spokoju Ragnarowi.

„Paktujemy z Mrokiem. Ale czy mamy jakiekolwiek inne wyjście?"

– Spróbuj nie myśleć o tym, czego dosiadamy. – Niyah przytuliła się do jego pleców, gdy siedzieli już w specjalnie przygotowanym siodle. – To przywołaniec. Służy nam i nie może nas skrzywdzić.

Rycerz nie odpowiedział. Skrzywił się, gdy do jego nozdrzy dotarł smród siedzącego przed nim sługi czarnoksiężnika.

– Nie potrafię nakłonić cię, byś mi zaufał – szepnęła czarodziejka. – Musisz jednak wiedzieć, że możesz na mnie polegać. Widzę, jak przesz przed siebie, jak zaciskasz zęby. Ten chłopak jest kimś ważnym.

Odwrócił lekko głowę.

– Uratował nam życie. Każdemu z nas. A potem pewien człowiek go zabrał.

– Potrafisz go odnaleźć?

– Wierzę, że tak. Myślę, że każdy z nas wierzy w to równie mocno.

– Jeśli będę w stanie, pomogę wam.

Zmarszczył brwi i spojrzał w jej oczy. Delikatnie, jakby przez przypadek, musnęła jego policzek nosem.

– Nie jesteś nam nic winna. Ani Gasparowi.

– Nie śmiej się, rycerzu. – Wciągnęła powietrze i dodała: – Ale jest w tobie jakieś Światło. Coś, co kiedyś rozumiałam jako Dobro. I to coś tobą kieruje. Tęskno mi do takiej cząstki, do takiego uczucia. Nie mam go w sobie, już nie mam.

Nie odezwał się. Pozwolił czarodziejce tulić się do swoich pleców. Odnalazł wzrokiem Paulusa. Mag tłumaczył coś krasnoludowi, który siedział z nim w siodle. Ragnar przeniósł wzrok w miejsce, w którym mrok kłębił się dookoła trzeciego wywołańca. Koryntiasz Szrama miał lecieć samotnie, nie licząc rzecz jasna upiornego opiekuna. Strzelec poprawiał kołczan zawieszony na plecach, drugi umieścił w siodle.

Rycerz spojrzał na twarz pół-shaeida i przypomniał sobie kilka zdań, które ten rzucił chwilę wcześniej:

– Chciałbym, żebyście mości Ragnarze wiedzieli, że możecie na mnie liczyć. W dwójnasób albo i po trzykroć. Wiem, że mi nie ufacie, że jest między nami cisza. Ale pamiętajcie, zrobię wszystko, żebyście byli bezpieczni.

– Mówisz mi to, Koryntiaszu, w jakim celu?

– Nie ma czasu, bym ci dobrze wyłożył, w czym rzecz, ale musisz wiedzieć…

– Dobrze prawisz – mruknął wtedy z goryczą Ragnar. – Nie mam wyjścia.

– Nie ma czasu, a ponadto jeszcze ta myśl mi po głowie łazi. Nie jestem bardzo, właściwie wcale nie jestem, Trzynastu posłuszny. Ale coś tam we mnie z przyświątynnych nauk zostało. I modliłem się nawet ostatnio przez chwilę do Craniusa. Nie wiem, panie rycerzu, czy cało wyjdę z tej awantury.

Koryntiasz zwany Szramą nie był tchórzem. Można było go uznać za pyszałka, za złośliwca i, jak podejrzewał Ragnar, za wątpliwie wiernego towarzysza. Ale odwagi mu nie brakowało. Na zakończenie ich krótkiej rozmowy pół-shaeid powiedział:

– Jeślibym żywota dokonał, Galbo ma obowiązek, co mi przysiągł, powiedzieć ci, od czego dokładnie zaczęła się nasza przygoda w Ringen. Teraz to nieistotne, niczego nie zmienia, ale po tym wszystkim, panie Ragnarze, musisz wiedzieć.

***

Miasto poniżej rozświetlały tysiące małych, jasnych punkcików. Kaganki w oknach, latarnie na ulicach i pochodnie na ścianach budynków dawały nikłą poświatę, ale w porównaniu z innymi miastami Konstanza była nocą iście skąpana w świetle. Niczym południowe metropolie.

Paulus Brega trzymał się mocno specjalnych uchwytów po bokach siodła. Wiatr targał mu kaptur i uderzał w twarz. Lecieli wysoko i bardzo szybko. Błyskawicznie pokonali dystans z Pamos do Grimei, kryjąc się w chmurach, gdy mijali wysokie pokryte czernią mury Zachodniej Twierdzy. Strażnicy na jej blankach mieliby trudności z wypatrzeniem na tle nocnego nieba trzech dziwacznych stworzeń, ale drużyna wolała oddalić każde możliwe ryzyko. Opiekunowie Nocnych Skrzydeł obniżyli lot dopiero nad północną częścią Szarej Wyspy, kierując się na zachód, ku wietrznym brzegom Północnego Morza. Tam, nad niezamieszkałym skalistym terenem, sunęli jakieś kilkanaście łokci ponad powierzchnią.

Siedzący za Paulusem krasnolud poruszył się i mruknął wściekle. Czarodziej nie odwracał się, przekrzywił tylko nieznacznie głowę i krzyknął:

– Nadal cieszycie się lotem, panie Bragg?

– A żeby was... Następny żartowniś.

– Czemu psioczycie? Już prawie dotarliśmy. – Mag starał się przekrzyczeć wiatr świszczący im w uszach.

– Miałem pytać wcześniej, ale jakoś nie było okazji – ryknął krasnolud. – Co tak chrzęści i dzwoni? Jakby łańcuchy, albo jakieś inne cholerstwo...

Paulus zamyślił się. Trudno było tłumaczyć nieobytemu w czarodziejskiej sztuce wojownikowi, jak zbudowane były przywołańce. Tak po prawdzie to sam dokładnie nie wiedział, jak sprowadzano Nocne Skrzydła. Czytał o tym i sporo słyszał. Dźwięki, o których wspomniał Ziggo Bragg, pochodziły zapewne od jednego z komponentów potrzebnych do stworzenia czaru – kilku łańcuchów. Byt, w który zaklinano Istotę Mroku, potrzebował fizycznej manifestacji, czegoś na kształt szkieletu. Prócz łańcuchów czarnoksiężnicy używali jeszcze pewnej ilości skórzanych pasów i sporo krwi. Ponoć wyłącznie zwierzęcej. Przy każdym ruchu Nocne Skrzydła wydawały te upiorne odgłosy.

Paulus Brega otworzył usta, by odpowiedzieć, nim jednak zdołał to zrobić, poczuł szarpnięcie. Prędkość lotu zmniejszyła się. Prowadzący szyk, wiozący Ragnara i czarodziejkę nakazał swojej skrzydlatej bestii skręcić w prawo i zatoczył łuk dookoła pozostałej dwójki Nocnych Skrzydeł. Krasnolud zaczął wpatrywać się w dół, zapominając o zadanym pytaniu, a Władca Ziemi odetchnął z ulgą.

– Jesteśmy.

Poniżej widać było wyraźnie dzielnicę nędzarzy nazywaną Kieszeniami. Prymitywne drewniane i kamienne zabudowania, w większości stworzone naprędce i z przypadkowo znalezionych materiałów, skupiały się jedne przy drugich. Nie można było wyróżnić ulic lub placów. „Istny labirynt". Źródeł światła było bardzo mało, ale cel, do którego miała dotrzeć drużyna zdecydowanie się wyróżniał.

Psia Baszta była przed setkami lat jednym z elementów obronnych. Garnizon pełniący w niej służbę pilnował skalnej drogi biegnącej skrajem lądu z północy na południe. Teraz, gdy bezpieczeństwa Konstanzy strzegły ogromne Twierdze wyposażone w ciężką broń, małe wieże

nie były potrzebne. Baszta zachowała się praktycznie w całości. Okalał ją wysoki, wytrzymały na pierwszy rzut oka, mur obronny. Na blankach w kilku miejscach umieszczono naczynia z płonącą oliwą. Na szczycie wieży w najwyższych oknach widać było blask pochodni.

Do obwarowanej budowli można się było dostać lądem, jedynie przedzierając się przez dzielnicę biedoty. Droga powietrzna okazała się wybawieniem i zapewniała element zaskoczenia.

Nocna mgła kłębiła się przy ziemi, pełzając z północnego zachodu. Można było wyraźnie dostrzec, jak z chwili na chwilę pochłania niższe zabudowania i podchodzi pod mury obronne. Temperatura spadała.

„Psia Baszta". Paulus pokręcił głową, zagłębiając się w myślach. „Ten człowiek tytułuje się Białym Psem, a swoje leże nazwał Psią Basztą. A może nazwali ją tak jego ludzie? To bez znaczenia".

Gdzieś w wieży znajdowała się dziewczyna, młoda Gratia Popper. A Niyah Elbaz potrafiła ponoć wykryć miejsce jej przetrzymywania. Z dokładnością do kilku kroków. Poświęciła trzy kwadranse na rozmowę z Erstenem Popperem i specyficzny rytuał, podczas którego wyciągnęła z jaźni ojca każde możliwe wspomnienie na temat córki. Miało to umożliwić czarodziejce jej odszukanie. Władca Ziemi zawsze obawiał się potęgi, którą posiadali Władcy Umysłów.

„A jednak pozwoliłem, jak i reszta, na stałe połączenie z naszą czarodziejką", pomyślał. „To był ryzykowny krok i oby się opłacił".

W tej właśnie chwili Niyah Elbaz wysłała umysłową wiadomość. Tuż po jej otrzymaniu Paulus trącił łokciem krasnoluda.

– Koryntiasz zaczyna. Bądź w gotowości.

***

Liczyły się zarówno czas, jak i precyzja. Koryntiasz zwany Szramą wypuszczał strzałę za strzałą. Trzech strażników już konało, każdy trafiony w gardło, tak by nie był w stanie wydobyć z siebie dźwięku głośniejszego niż charkot lub rzężenie. Wszyscy mężczyźni trzymający straż na blankach wyglądali podobnie: nosili ciemne kubraki, na które zarzucili obszerne opończe, a na głowach mieli kaptury z bardzo długimi szpicami. Szyje obwiązali grubymi chustami. Wyglądali bardziej jak najęci do ochrony fachowcy niż prości żołdacy Władcy Żebraków, jak mówił o sobie Biały Pies.

Czwarty strażnik został trafiony chwilę później. Przewracając się, lekko zawadził o naczynie pełne płonącego oleju, płyn wewnątrz zafalował i kilka ognistych kropel spadło na kamienną powierzchnię. Następni dwaj wypatrywacze zginęli i droga była wolna. Skrzydlata bestia spokojnie szybowała po czarnym niebie, unosząc się powyżej Psiej Baszty. Pół-shaeid zamknął oczy.

„Strażnicy zlikwidowani”, rzekł w myślach. „Ubezpieczam was. Możecie ruszać”.

W odpowiedzi na jego wiadomość pozostałe Nocne Skrzydła zniżyły swój lot i zataczając szerokie kręgi dookoła celu, wolno zbliżyły się do baszty. Bestia niosąca Władcę Ziemi i krasnoluda wleciała wewnątrz murów, do zniszczonego ogrodu. Skrzydła spowite plugawą mroczną aurą smagnęły ziemię i stare, zeschłe drzewa. Mgła wypełniająca dziedziniec rozpierzchła się na boki, otaczając miejsce lądowania wianuszkiem oparów. W jednym momencie Ziggo Bragg i Paulus Brega znaleźli się na własnych nogach. Wojownik ubrał się lekko w skórzany kaftan. Trzymał w dłoniach potężny topór, a na plecach niósł sakwę potężnych rozmiarów. Czarodziej nie dzierżył żadnej broni, a przez ramię miał przerzuconą ciężką torbę. Jego ciemne obszerne szaty lekko łopotały, gdy zaczął biec w kierunku wieży.

Chwilę później drugi wywołaniec przycupnął na szczycie wieży, zwijając skrzydła. Rycerz, odziany w szary kubrak, na który narzucona była skórzana zbroja, zszedł z siodła niepewnie, lekko ślizgając się po spękanych dachówkach. Niyah Elbaz radziła sobie o niebo lepiej, była zręczna i szybka. Rana, którą otrzymała kilka godzin temu, jakby zupełnie nie miała znaczenia. Ponoć za sprawą okładów z leczniczych roślin kobiecie udawało się koić ból. Dotarła do krawędzi spadzistego dachu i zatrzymała się. Trwała tak w skupieniu przez krótki czas. Nosiła strój niekrępujący ruchów, a przez plecy przerzuciła pas z mieczem.

„Czarna kocica. Zgrabna i piękna, a przy tym jakże niebezpieczna”.

Skrzydlate bestie wzbiły się do lotu i już po chwili krążyły dookoła trzeciej z nich, której dosiadał łucznik. Dzięki dziedzictwu swej shaeidańskiej krwi Koryntiasz posiadał dar pozwalający mu dostrzegać cieplne kształty żywych istot. Uśmiechnął się pod nosem. Krasnolud poruszał się szybko w pobliżu wejścia do baszty. Nie słyszał, co dzieje się poniżej, ale był pewien, że Bragg biegał, sapiąc i pomrukując. Zapewne jak wcześniej postanowiono, rozrzucał średniej wielkości woreczki, które wydobywał z ogromnej torby. Część z nich rozpruwał i rozsypywał ciemny drobny proszek. Paulus dobiegł do wrót, pokonując masywne, kilkustopniowe schody. Czarodziej dotknął dłońmi kamieni znajdujących się dookoła drzwi. Używał swoich zaklęć. Po pewnym czasie wzniósł wzrok do góry i zamknął oczy.

Z wnętrza izby znajdującej się u szczytu baszty zaczęły wydobywać się kłęby czarnej, nieprzeniknionej mgły, a Koryntiasz poczuł delikatną aurę Sztuki Mroku. Niyah szeptała wewnątrz jego głowy:

„Paulus gotowy, ja również. Wchodzę!”

Po tych słowach, uzbrojona w ostrze uprzednio wydobyte z pochwy na plecach, sprawnie przedostała się do jednego z okien i wskoczyła do wewnątrz, prosto w objęcia Ciemności.

Do uszu łucznika dotarł głuchy odgłos. U podstawy wieży, w miejscu, gdzie wcześniej znajdowały się solidne wrota, ziała teraz ogromna dziura. Kamienie tworzące półkolisty portal rozsypały się, a drewniane odrzwia wpadły do środka. Znajdujący się na schodach Władca

Ziemi kucnął i przytknął dłonie do kamiennego podłoża. Cała wieża zadrżała. Koryntiasz nie widział, co stało się wewnątrz najniższej kondygnacji, ale przez wyłom w ścianie wydobyły się olbrzymie ilości pyłu, jakby wypchnięte przez niewidzialną siłę.

Krasnolud nadal zajmował się przygotowywaniem terenu.

U góry mroczna magiczna mgła rozproszyła się, a Ragnar przemieścił się na krawędź dachu. Czarodziejka wychyliła się przez okno i pomogła mu wejść do komnaty. Szrama wpatrywał się w okna.

„W górnej komnacie sprawa jest załatwiona", usłyszał w myślach głos Niyah. „Paulus zabezpieczył poziom dziedzińca. Dziewczyna jest w dolnej części budynku".

– Zacznij krążyć – mówiąc to, Koryntiasz nachylił się nad ramieniem opiekuna bestii, ignorując bijący od niego smród.

***

Mieli szczęście.

„Białego Psa nie ma w budynku", oznajmiła towarzyszom Niyah Elbaz, używając swoich umysłowych talentów. „Zapewne nie ma go także w obrębie murów".

Czarodziejka przestąpiła nad ciałem martwego służącego odzianego w zdobny kubrak. Jego twarz wykrzywił grymas przedśmiertnego przerażenia, a gardło nadal obficie krwawiło. Drugi z zabitych leżał obok drzwi. Był uzbrojony w dwa długie sztylety. Prawdopodobnie trzymał straż pod nieobecność swojego pana.

Ragnar ze Svero przepatrywał jeszcze pobieżnie pomieszczenia najwyższej kondygnacji. Komnaty posiadały solidne drzwi i równie nieliche zamki, ale na szczęście pęk kluczy znaleziony przy jednym z zabitych pozwolił dostać się do pokoi szybko i sprawnie.

Wszystkie, nie ulegało wątpliwościom, należały do właściciela wieży. Króla Żebraków, jak go nazywano, stać było na całkiem bogaty wystrój. Na ścianach zawieszono tkaniny pochodzące z różnych zakątków kontynentu oraz misternie plecione gobeliny. Gdzieniegdzie umieszczono ozdoby: zwierzęce kły i rogi, naszyjniki i paciorki lub przedziwne przedmioty, których pochodzenie i zastosowanie było dla nordyjskiego rycerza zagadką. Podłogi wyłożono grubymi kobiercami i skórami egzotycznych zwierząt. W jednej z sal zgromadzono kilka regałów pełnych książek w grubych okładkach, było tam także sporo zwojów w specjalnie przygotowanych koszach. Kolejną komnatę wyposażono w ogromną wannę i pachnidła, których nie powstydzono by się na cesarskim dworze. W innej Biały Pies umieścił rzeczy, które można było nazwać po prostu łupami: kilka pokaźnych skrzyń pełnych kosztowności, wiele sztuk kunsztownie wykonanej broni, przeróżne stroje. Rag odnalazł też dwa masywne kufry napełnione złotem i srebrem, w większości cesarskim, ale pośród nich można było dostrzec grube monety bite w Wolnych Księstwach oraz te duże o nieregularnym kształcie,

pochodzące zza Żelaznych Gór. Były tam także umieszczone na specjalnych stojakach trzy kryształowe kule, które wyglądały na magiczne.

Wszelkie te dobra szlachcic zbył wzrokiem i odszukał Niyah. Spotkali się na środku wieży, przy schodach prowadzących w dół.

– Ilu ludzi mógł zabrać ze sobą? – zapytał.

– Kilku? Pewnie z tuzin... Być może, na nasze szczęście, sprawa Popperów nie jest dla Psa najważniejsza.

– Jesteś pewna co do dziecka?

– Wyczuwam jej silne emocje, jej strach. – Czarodziejka ruszyła przodem w dół schodów. – Jest poniżej. Dwa, może trzy poziomy pod nami.

Pokonali schody i znaleźli się na kolejnej kondygnacji. Poruszali się szybko, świadomi, iż ludzie znajdujący się w Baszcie najpewniej zorientowali się już w sytuacji. Ale nikt póki co nie próbował zastąpić im drogi. Pobieżnie obejrzeli niezagospodarowane i pełne pajęczyn komnaty, po czym skierowali się niżej.

Rycerz zauważył ich pierwszy: dwóch chudych pachołków uzbrojonych tylko i wyłącznie w noże. Natarł na idącego z przodu, przypierając go do ściany. Przeciwnik próbował zasłaniać się ostrzem, ale szeroki miecz Ragnara dotknął jego szyi. Drugi od razu zaczął się wycofywać. Niyah wyminęła rycerza i wyrzuciła przed siebie rękę, zwijając ją w pięść.

– *Tkurrje* – krzyknęła gardłowo.

Uciekający potknął się, krzycząc z bólu. Wypuścił nóż z drętwiejących palców i stoczył się w dół schodów.

– Gdzie dziewczynka? – warknął Ragnar, przenosząc czubek ostrza niżej. Teraz przyciskał swój miecz do piersi unieruchomionego mężczyzny.

Czarodziejka zawróciła i posłała szlachcicowi spojrzenie wyrażające zniecierpliwienie.

– Znów ma być po twojemu?

Ragnar opuścił wzrok i tylko warknął:

– Wyrzuć nóż!

Moment po tym, jak oręż wypuszczony z ręki pachołka zadźwięczał na kamiennych schodach, Niyah Elbaz dotknęła dłonią jego czoła.

Ragnar widział to już wcześniej, gdy połączenie Czarnej Magii z Domeną Umysłu pozwoliło czarodziejce przejąć całkowitą kontrolę nad więzionymi. Teraz także z ust mężczyzny poddanego silnej magii wydobył się bezsensowny bełkot. Niyah w tym samym momencie czytała w jego umyśle, przejmowała wszelkie potrzebne informacje. Pod koniec pstryknęła w palce, a jej ofiara bezwładnie zwaliła się na kamienne stopnie z wyrazem obłędu na twarzy, śliniąc się obficie.

– Nie patrz tak na mnie – szepnęła. – Wiesz, że to konieczność. Czas...

Chwycił ją za ramię.

– Tam w siodle, zanim ruszyliśmy... Mówiłaś, że tęsknisz do Światła...

Spojrzała mu w oczy i zawahała się, jakby chciała coś powiedzieć. W końcu szepnęła tylko:

– Spieszmy się.

Poniżej natknęli się na drugiego z pachołków, wijącego się z bólu. Dygotał jakby pod wpływem ciężkiej południowej choroby niosącej gorączkę.

Odczytując niewypowiedziane pytanie, Niyah rzuciła:

– Będzie żył, to wielce prawdopodobne…

Zaraz potem zamknęła oczy i pokręciła wolno głową, szepcząc nieznane rycerzowi słowa. Powoli wyciągnęła przed siebie dłoń i wskazała na drzwi znajdujące się po lewej stronie. Chciał ruszyć przodem, ale powstrzymała go delikatnym szarpnięciem.

– *Merre Perpara Rreth* – szeptała, wolno wypowiadając słowa. Być może w lothańskim dialekcie, Ragnar mógł się tylko domyślać.

Otwarła oczy i powiedziała, teraz już po cezaryjsku:

– Gratia jest w komnacie za tym korytarzem. Są z nią cztery inne istoty ludzkie, większość to zwykli służący lub żołdacy, ale jeden z nich włada nieznaną mi mocą. Myślę, że nie jest to czarodziej jak ja lub Paulus. Prędzej nazwałabym go czarownikiem lub szamanem. Jest w nim cos dziwnie niepokojącego.

– Nie rozumiem…

– Chłopak na schodach i jego myśli… Podobnie ci dwaj, których przesłuchiwaliśmy wieczorem. Wszyscy panicznie obawiali się komnat należących do „Uczonego”. Tak o tym kimś myśleli, tak go traktowali. Jako kogoś w rodzaju pomocnika i doradcy Białego Psa. To, co odczuwali na myśl o spotkaniu z tym człowiekiem, było czymś o wiele gorszym niż strach. Bądźmy ostrożni…

***

Zaiste, masywny czarodziej zasłużył na miano Władcy Kamieni. Krasnolud słyszał co prawda, jak inni mówili o magu „Władca Ziemi”. Nie, to pierwsze pasowało bardziej.

Ziggo Bragg stanął ciężkimi, podkutymi butami na leżących na ziemi drewnianych wrotach i pokiwał głową z uznaniem. Kondygnacja znajdująca się na poziomie ziemi zbudowana była jako potężna wspólna sala, nieprzedzielona ścianami, podtrzymywana przez solidne kolumny. Teraz była całkowicie zniszczona. Kamienie wyrwane z posadzki musiały unieść się prawie pod sufit i solidnie wirować w całym pomieszczeniu, na co wskazywał stan ciał. Były okrwawione, poturbowane, niektóre rozczłonkowane. Widział już kiedyś podobne rany, tyle że zadawane potężnymi młotami krasnoludzkiej roboty. Tak właśnie wyglądały. Zabitych było czterech, może pięciu.

„Nie. Zaraz, psiakrew, może i siedmiu”, Bragg zaśmiał się w duchu. „To ci magia…”

Potężny czar zerwał także schody prowadzące na górę. W suficie, na wysokości jakichś dziesięciu łokci, znajdowała się spora dziura. Wszelakie drewniane meble, stoły i pozostały dobytek, walały się w częściach po gruzowisku. Pachniało winem z rozbitych dzbanów. Gdzieniegdzie płonęła rozlana oliwa.

Krasnolud uśmiechnął się wymownie do stojącego obok czarodzieja, wskazując na ogień.

– A tyś chciał krzesać. Mówiłem, że co ma się znaleźć, to się znajdzie.

– Tak samo się raduję, panie krasnoludzie. – Mag rozglądał się uważnie po sali. – Ale przezorność nie zawadza, nigdy i nikomu. Może i ognia nie będzie trzeba używać, kto wie?

Wskazał na otwór w suficie.

– Miejcie baczenie na górę, a ja zajmę się wejściem.

Czarodziej odwrócił się i wbił wzrok w zamglony ogród. Ziggo przesunął się w głąb komnaty i oparł o jeden z filarów. Katem oka popatrzył na towarzysza.

– A jak tam nasza czaro-dziewka? Coś wam, mości magiku, w głowie kołacze?

– Prosiła o czas. To i czekajmy.

Więc czekali. Krasnolud ziewnął. Nocnej ciszy nie zakłócały żadne dźwięki, jakby reszta ludzi Białego Psa ignorowała to, co stało się u dołu wieży. „Co, u licha?", zastanowił się. Bo przecież musieli słyszeć.

Wreszcie odezwał się czarodziej:

– Panie Bragg, nasz łucznik dostrzegł ruch. Kilkanaście osób wybiegło z budynków po przeciwnej stronie podworca. Zmierzają tutaj...

Wojownik pokręcił głową. Poprawił podwójną pochwę na plecach, w której trzymał toporki. Sprawdził stan dwóch krótkich acz masywnych pistoletów wetkniętych za pas biodrowy. Chwycił dwuręczny topór i wolno podszedł do otworu wejściowego. Minął kucającego magika i stanął na szczycie schodów.

– Wezmę ten ogień. – Władca Ziemi rozejrzał się. Przystanął na moment w bezruchu i westchnął. – Czarodziejka znalazła naszą zgubę. Wchodzą do właściwej komnaty. I jest tam potężny wróg, jak sądzi. Musimy przez moment radzić sobie sami. Nie będzie w stanie przekazywać naszych myśli Koryntiaszowi Szramie.

Krasnolud łypnął okiem.

– Upewnimy się, że to już czas... I damy taki znak, żeby już nasz wesołek się zorientował.

– Idealny plan – zgodził się mag i szepnął coś przyciszonym głosem, jakby mówił do siebie. Zaraz po tym zaczął przygotowywać zaimprowizowaną pochodnię.

We mgle pośrodku dziedzińca coś się poruszyło. Opary rozpierzchły się. Wybiegli z pośród nich zbrojni, odziani w kaftany, obszerne spodnie i kaptury. W rękach dzierżyli wygięte ostrza, południowego typu. Kilku niosło włócznie zakończone płomiennymi żeleźcami.

„Tuzin. Może kilku ponad to”. Ziggo Bragg splunął z pogardą, celując w dół schodów.

Zauważyli go i zwolnili. Ci z przodu wymienili spojrzenia. „Dziwne, nie? Teraz się pewnie zastanawiacie, co będzie dalej…”

Dołączyli następni. Krasnolud zaklął, licząc przybyłych. Mocniej zacisnął dłonie na drzewcu i nabrał powietrza do płuc. „Rześkie i przyjemne, prawie jak górski wiatr”.

– Tutaj, jebańcy! – ryknął.

Trzej pierwsi wolno podeszli do schodów, wodząc uważnie wzrokiem po najbliższej okolicy. Szli niepewnie, wyciągając przed siebie szable.

– Tyle wystarczy – warknął Bragg i dodał łagodnie: – Mam dla was propozycję…

– Chowasz tam za sobą oddział żołnierzy? – Ten pośrodku trójki przybyłych mówił powoli, z trudem dobierając odpowiednie słowa. Jego akcent zdradzał pochodzenie, zdecydowanie zza południowej granicy Cesarstwa.

– Nie. – Krasnolud pokręcił głową i dodał: – Tylko jednego pomocnika, i żaden z niego żołnierz. Wspomniałem o pewnej propozycji…

Nie odpowiedzieli. Spoglądali tylko z głębi kapturów.

– Wam, tak jak i mnie, płacą za robienie orężem. Znaczy, za zabijanie i za walkę. Powiedzmy, że w imię zawodowej solidarności dam wam odejść. Ale musicie to zrobić od razu.

Ich przywódca przekrzywił głowę. Bragg westchnął i kontynuował:

– Nie znam waszego języka, a wy chyba nasz też jakoś nie do końca rozumiecie. To powiem prosto: idźcie precz, to będziecie żywi!

Dwa uderzenia serca później cała trójka roześmiała się, głośno charcząc.

I ruszyli do góry.

Ziggo Bragg szybko się schylił i położył dwuręczny topór u swoich stóp. Kucając, sięgnął obydwiema rękami do toporków noszonych na plecach. Jednym sprawnym ruchem wydobył je i wyrzucił przed siebie z ogromną siłą. Przywódca zbrojnych z zaskoczeniem obserwował, jak jego przyboczni zostają trafieni, jeden w pierś, a drugi w okolice szyi. Szarpnęło nimi, stracili równowagę i polecieli w tył. A krasnolud skoczył, trzymając w dłoniach potężny oręż.

– Eisen Taar![xix] – zawył przeciągle i ciął od góry.

Przeciwnik próbował parować, ale siła ciosu była przerażająca. Brzęknęło. Ostrze topora zgięło szablę i pogruchotało ramię broniącego się. Na koniec rozłupało mu czaszkę. Bragg wylądował pomiędzy rozrzuconymi kończynami ofiary, drgającymi w konwulsjach.

Obok z furkotem przemknęła pochodnia ciśnięta przez magika. Gdy tylko dotknęła dolnych stopni schodów, rozsypany na nich uprzednio proszek zajął się ogniem. Buchnął dym i pojawiły się płomienie, agresywne i szybko się rozprzestrzeniające. Odziani w kaptury zbrojni zaczęli przeraźliwie krzyczeć i próbowali uciekać. Ogień przesuwał się błyskawicznie, aż sięgnął placyku przed schodami i doszło do eksplozji. Rozpętało się piekło. Płomienie

wystrzeliły w górę, pochłaniając wszystkich, którzy znaleźli się w ich zasięgu. Psia Baszta zadrżała.

Ziggo Bragg uniósł głowę i zaśmiał się okrutnie.

VI – Wrota umysłu

Niyah Elbaz przygotowała się najlepiej, jak mogła. Nawet na nieoczekiwane. Kątem oka spojrzała na rycerza. Ragnar nie okazywał zdenerwowania, dobył miecza, a w lewej pięści zacisnął swój druidyczny kamień – Prawdziwe Światło. Wierzył zapewne, że moc tego swoistego amuletu jest w stanie pomóc w starciu z przeciwnikiem posiadającym nieznane moce. Czarodziejka uśmiechnęła się gorzko.

„Niech wierzy, jeśli ma mu to pomóc w walce". Ona jednak nie zamierzała pokładać nadziei w Magii Natury i w Sztuce Światła. Właściwie to wolałaby nie znaleźć się w sferze oddziaływania przedmiotu należącego do Ragnara. „Mój Mrok i jego Światło. Wybraliśmy różne ścieżki".

Woń kadzideł dobiegająca z komnaty była niezwykle intensywna. Zapach uderzył w ich nozdrza, gdy rycerz lekko naparł ramieniem na dwuskrzydłowe drzwi. Nie były zamknięte.

Spojrzeli na siebie.

– Pilnuj się, Ragnarze – szepnęła, a nordyjski szlachcic pokiwał głową.

I z impetem otwarł wrota.

Izba była obszerna. Była skryta w półmroku, światło dawały zaledwie trzy szklane lampy. Nie zawierała mebli i ozdób. Ściany były poczerniałe i puste, a kamienna podłoga pozbawiona jakiegokolwiek wyścielenia. Pomiędzy filarami pośrodku pomieszczenia postawiono potężną skrzynię przykrytą kolorową tkaniną. Znajdowały się na niej trzy płaskie naczynia wypełnione dymiącą substancją. Wonny zapach dochodził stamtąd.

„Jak w cholernej świątyni…"

Czarodziejka wytężyła wzrok. Jej shaeidańskie korzenie nie były aż tak silne, by odziedziczyła dar widzenia cieplnej aury żywych istot, ale nauki pobierane u Ngiyry Zezak sprawiły, że w częściowej ciemności widziała doskonale.

Dziewczynka znajdowała się w głębi izby. Siedziała bez ruchu. Obok niej stał ten, który dziwnie emanował nieznanym rodzajem magii. Dotykał dłonią głowy Gratii. Pozostałe trzy osoby stały pod ścianami, z pochylonymi głowami i kołysząc się miarowo na boki.

Niyah przekazała Ragnarowi, co widzi. Rycerz uniósł miecz i wskazał na przywódcę.

– Oddaj dziecko – warknął.

Jakby w odpowiedzi trzej pomocnicy czarownika ruszyli do przodu. Rozległy się dziwne dźwięki – coś jakby chrzęst czy szelest. Czarodziejka przyjrzała się przeciwnikom. Byli ubrani w strzępy tunik i kaftanów, a ich kończyny i korpusy owinięte były jakimiś grubymi sznurami. A sznury te zdawały się poruszać…

– Na Otchłań – szepnęła czarodziejka i dodała głosem wewnątrz swojej głowy tak, że usłyszał ją szlachcic: „Te powrozy… One się poruszają…"

Dwaj mężczyźni i kobieta weszli w zasięg światła i można było obejrzeć ich dokładniej. Dziwne sznury, jak żywe istoty, zaciskały się i luzowały na ramionach i piersiach nieszczęśników. Ich ciała pokryte były krwią, bo powrozy, bardziej przypominające pnącza, posiadały kolce i ciernie różnej długości. Raniły swoich nosicieli, lecz ci zdawali się nie zwracać uwagi na ból – ich oczy były puste, a twarze obwisłe i blade, jak u zmarłych. W zaciśniętych dłoniach trzymali kawałki wygiętego metalu, przypominające ostrza kos.

Ruszyli do ataku.

Rycerz zrobił krok w przód i zastygł na moment w obronnej pozie. Klingę opuścił nisko, tak że zadźwięczała o kamienne podłoże. Lewą dłonią delikatnie przesunął czarodziejkę za siebie. Niyah uśmiechnęła się i wyciągnęła przed siebie obie dłonie, szepcąc pod nosem.

Pierwszy z przeciwników stracił ramię. Szerokie nordyjskie ostrze przeszyło powietrze, barwiąc sufit krwistą plamą. Rag kopnął okaleczonego, unikając ciosu. W tym samym momencie na szlachcica rzuciła się kobieta. Była niezwykle szybka. Ragnar zasłonił się mieczem, ale nie zdołał uniknąć cięcia. Dostał w przedramię i syknął z bólu. Opętana wpadła na niego i przylgnęła do jego ciała. A żywe liny błyskawicznie zaczęły go oplatać.

Niyah przywołała Domenę Mroku i zacisnęła obydwie pięści, ale biegnący na nią przeciwnik nawet nie zwolnił. To, co nad nim panowało, wywołało całkowitą odporność na fizyczny i mentalny ból. Zaklęcie okazało się bezużyteczne. Dwa kroki i mężczyzna z przerażającymi powrozami zaciskającymi się na szyi stanął naprzeciw czarodziejki. Cofnęła się i szybkim ruchem wydobyła miecz z pochwy, po czym rozpłatała czaszkę wroga.

Skoczyła w bok i cięła jeszcze dwa razy, odrąbując ramiona opętanego i unikając drgających lin, które wyciągnęły się ku niej niczym macki.

Ragnar odchylił głowę na maksymalną odległość i trzasnął czołem w twarz kobiety. Trysnęła krew. Przewrócili się, a pnącza zaciskały się coraz mocniej. Na ciele rycerza w wielu miejscach pojawiła się krew.

„Ciernie".

Niyah sięgnęła mroczną częścią swojej jaźni do Ympusa. Choć tak po prawdzie to nie potrafiła nazwać natury ich swoistego kontaktu, połączenia czy może współzależności. Jej komunikat nie zawierał słów, ale instynktowne odczucia. W tym akurat momencie brzmiał jak coś w rodzaju: „Zabij! Zabij! Zabij!".

Stworzenie zmaterializowało się, roztaczając dookoła swoich skórzastych skrzydeł delikatną mgiełkę Mroku, dokładnie przed twarzą czarownika. I skoczyło mu do gardła, plując kwasem z rozdziawionej paszczęki. Mężczyzna zawył z bólu i rzucił się na kolana.

Czarodziejka dopadła do miotających się po podłodze zalanych krwią rycerza i kobiety. Cięła najpierw dwa, a zaraz potem trzy razy. Końcem miecza, uważnie, szybko i precyzyjnie. Większość pnączy odpadła na boki, pozwalając Ragnarowi na uwolnienie się. Odturlał się w bok, a czarodziejka ścięła głowę opętanej, która w między czasie próbowała wstać.

Czarownik wrzeszczał, gdy kwasowa wydzielina wyżerała mu twarz. Jednakże jego krzyki zaczęły przemieniać się w niezwykły zawodzący śpiew. A potem, Niyah była pewna: „On nie śpiewa… On się śmieje…”

Dziwna magia zadrgała w powietrzu. Dookoła. Zewsząd. Ragnar był już na nogach, trzymając miecz. Oddychał ciężko.

Ściany pokrywała rozprzestrzeniająca się w błyskawicznym tempie plątanina drgających i pełzających powrozów, lin i pnączy, uzbrojonych w długie i na pierwszy rzut oka niezwykle ostre ciernie. Podobnie wyglądał sufit i podłoga.

Przeklęty czarownik klęczał spokojnie, a powrozy zaciskały się na jego kończynach. Ympus owinął skrzydła dookoła jego głowy, ale mężczyzna zdawał się zupełnie nie zwracać na to uwagi.

Do umysłu czarodziejki dobiegła nieznana plugawa myśl: „Niech wyżera. Niech bestia z Otchłani żywi się moimi oczyma, niech trawi moją skórę. To tylko ludzkie oblicze: mięso, ścięgna, kości. Tam, gdzie przebywam na co dzień, w świecie poświęconym Cierniomistrzowi, oczy nie są mi do niczego potrzebne”. Niyah zamrugała, przechyliła głowę i przebiegła wzrokiem od postaci mężczyzny do siedzącej obok dziewczynki. Spod odzienia Gratii, spod lnianej opończy, w którą ją ubrano, wyłaniało się coś na podobieństwo korzenia. „Więc zorientowałaś się… Och, jakże cudownym bywa Los, co zsyła nam takie nieoczekiwane prezenty. Dziecię niewinne, posiadające tak potężny Dar, służyć będzie Mistrzowi jeszcze przez długi czas…”

– Szlag! – wrzasnęła na głos.

Zrobiło się ciemniej. Wokół Niyah i Ragnara gęstniało niezwykłe kłębowisko pnączy.

***

Całą komnatę wypełniała plątanina drgających ciernistych tworów. Pnącza, poruszając się z chrzęstem i skrzypieniem, utworzyły swoisty korytarz. Czarownik wolno zbliżył się ku nim, chwiejąc się i potykając, kilka chwil po tym, gdy Niyah odwołała Ympusa. Skrzydlaty stwór zniknął, a jedynym śladem jego bytności było zmasakrowane oblicze mężczyzny. Jego twarz właściwie przestała istnieć, stracił oczy i skórę. Krew i ślina ściekały mu na piersi, a w powietrzu unosiła się woń kwasu.

Człowiek nazywający siebie sługą Cierniomistrza wyglądał odrażająco, nawet jeśli pominęło się straszliwie poranioną twarz. Był wychudzony i blady. Ręce i nogi miał pokryte licznymi bliznami, a całe ciało oplatały mu pnącza, przy każdym ruchu zadając dodatkowe rany, kłując go i tnąc swoimi kolcami. Korpus pozbawiony skóry wyglądał przerażająco: wewnętrzne organy pełne małych wijących się pędów, wystające żebra i coś na kształt grubego korzenia oplecionego wokół kręgosłupa.

Niyah delikatnie pokiwała głową ze zrozumieniem.

„*Semviyoz*[xx]”, szepnęła w myślach tak, że usłyszeli ją wszyscy towarzysze. „Wżerca. Ten stwór, którego czarownik nazywa swoim panem, jest odpowiedzialny za całe zamieszanie. Są nierozerwalnie połączeni. I mam nadzieję, że się mylę, ale wygląda na to, że istota w jakiś sposób połączyła się również z dziewczynką”.

Czarownik zatrzymał się przed Niyah i Ragnarem. Rycerz uniósł miecz.

„Przedziwne są zrządzenia Mistrza Cierni, Pana Labiryntu, Opiekuna połączonych w modłach. Cudowne wręcza nam Dary. Oto Wy…”

Nordyjski szlachcic poruszył głową, zapewne także słysząc myśli opętanego: „Moja egzystencja w tym słabym ciele zakończy się niebawem. Widać, demon z Otchłani zesłany został przez mojego Opiekuna jako znak. Zapowiedź zmian. Nie mam już ludzkich oczu, ale widzę to wyraźnie. Podejdź tu, o Wybrańcu!”.

Drżącą dłonią wskazał na Ragnara, który zaskoczony potrząsnął głową. Niyah uśmiechnęła się półgębkiem.

„Tu cię mam! To nasza szansa. Ale powolutku i delikatnie. Pierwsze i najważniejsze: niech szaleniec mówi”.

Czarodziejka skupiła się na wewnętrznej mocy i przywołała Sztukę Umysłu. Uspokoiła oddech i zaczęła działać, przypominając sobie wszystko to, czego przed laty nauczyła się od Gogola Mahyndiego, nazywanego przez uczniów Liczącym Wrota.

Domena Umysłu pozwala nakłaniać innych do czynienia tego, czego zażąda czarodziej. Pozwala kontrolować ludzkie poczynania. Wydzierać najskrytsze tajemnice. Zabijać. Ale prawdziwą sztuką jest dokonać tego tak, aby ofiara nigdy nie zorientowała się, że została przez maga dotknięta. Aby osiągnąć cel, czarodziej – Opiekun Myśli wizualizuje w pewien sposób swoje działania. Mahyndi, wykładowca Burzowej Akademii w Shkemb, uwielbiał porównywać ludzki umysł do twierdzy z niezliczoną ilością wrót. Te, które strzegły najważniejszych tajemnic, były potężne, właściwie nie do pokonania. Można je było otworzyć, ale prawie na pewno wywołałoby to alarm. A w określonych przypadkach cisza była najważniejsza. Cisza i zaskoczenie. Jak teraz.

Niyah wiedziała, że fizycznie nie zdołają osiągnąć sukcesu. Może i zdołaliby zabić czarownika, ale wielce prawdopodobne że straciliby szanse na uratowanie Gratii Popper. Pozostawała inna możliwość. Musiała przejąć kontrolę nad przeciwnikiem, być może mentalnie go unicestwić. Szaleniec uznawał siebie za kapłana jakiegoś bóstwa, nie myślał racjonalnie, co więcej, właśnie teraz zdawał się wierzyć w przeprowadzenie planu, którego częścią miał stać się Ragnar. Przerażający wżerca, istota pochodząca z jakiegoś plugawego miejsca kompletnie opętała ciało i myśli nieszczęśnika.

Magowi – Opiekunowi Myśli najłatwiej jest dostać się w głąb chorego w jakiś sposób zaburzonego umysłu.

Czarodziejka wniknęła więc do środka, szukając wrót. Pamiętając słowa swojego nauczyciela, wyszukiwała te, które pozornie prowadziły do nieistotnych zakamarków, do pustych komnat lub ślepo zakończonych korytarzy. Władca Umysłu wie, że takie drzwi są zawsze słabiej zabezpieczone lub nawet półotwarte. Ludzka świadomość pilnuje tylko i wyłącznie cennych miejsc. Zarazem tylko częściowo przypomina ona prawdziwy zamek. I okazuje się, że jeśli sprawny włamywacz posiada wybitne zdolności, ślepy korytarz może prowadzić do cennego pokoju. To tylko kwestia czasu i skupienia. Krok po kroku.

Pierwsze chwile spędzone wewnątrz umysłu czarownika wywołały u Niyah szok. Nawiązywała już kontakt z zaburzonymi, ale ten przypadek był wyjątkowy. „Opętanie… Ta istota włada nim całkowicie… To będzie trudniejsze. niż zakładałam. Potrzebujemy czasu…"

Jednocześnie szaleniec nie przestawał mówić: „Oddasz swe ciało Cierniomistrzowi. Jesteś silny. Ciernie to wyczuwają. Będziesz żył długo. A Źródło w twoim wnętrzu pozwoli na wybitne zespolenie z Ziarnem Cierni. Dziewczynka jest zbyt młoda…" – przerwał, jakby zastanawiając się przez moment. „Ale ona, twa towarzyszka, niech zostanie niewolnicą sługi Cierniomistrza. Posiądziesz ją, by dała ci potomstwo. Też jest pobłogosławiona Darem Magii. Och, jakże jesteś szczodry, o Panie Labiryntu".

Czarodziejka zaśmiała się.

„Nie żeby mi to przez myśl nie przeszło, ale może w innych okolicznościach…"

Rycerz nie odezwał się, choć Niyah wiedziała, że dotarła do niego jej wiadomość. Odparł za to w myślach: „Mamy plan? Bo nie zamierzam reszty może nawet i długiego życia spędzić w objęciach cierni…"

„Ufasz mi?"

„Wiesz, że…", zająknął się, odczekał chwilę i szepnął wewnątrz swojego umysłu. – „Tak…".

Czarodziejka odetchnęła i w jednej chwili przesłała do Ragnara wszystkie potrzebne informacje. W tym samym czasie wiadomość odebrali także Paulus i Koryntiasz.

***

Kamienie zawirowały, unoszone przez magię i kierowane sprawnymi dłońmi Władcy Kamieni. Po krótkiej chwili utworzyły konstrukcję przypominającą schody. Stopnie umożliwiły dotarcie do otworu znajdującego się w suficie najniższej kondygnacji. Ziggo Bragg ruszył za czarodziejem, klnąc w duchu.

„Wykonuj wszystko, co ci powiem, nie pytaj, nie myśl, ino mi zaufaj. Psiamać!". A to wszystko tylko dlatego, że nie zgodził się na grzebanie w swojej głowie. Reszta dostała dokładne informacje od czarodziejki. On musiał zawierzyć słowom magika.

„Bez tej cholernej magii świat byłby prostszy. Silni byliby silnymi, słabi słabymi. Jeszcze żeby ludzie dotrzymywali słowa…” Krasnolud gorzko zaśmiał się w duchu. „Chyba pora się obudzić”.

Nie podobało mu się to wszystko. Płowowłosy i czaro-dziewka odnaleźli dziewczynkę w górnych komnatach. To cieszyło. Dziecko zostało jednak opętane przez czarownika lub kapłana. To był problem.

Szybko pokonywali kolejne kondygnacje. Władca Kamieni biegł prędko, zdumiewająco sprawnie jak na swoje gabaryty. Pięli się w górę po kamiennych schodach. W którymś momencie czarodziej zatrzymał się i po chwili skupienia wskazał na półotwarte drzwi. W powietrzu unosiła się woń kadzideł zmieszana z zapachem krwi. Śmierdziało także czymś, czego krasnolud nie potrafił określić. Na odrzwiach komnaty wiły się przedziwne pnącza.

„Tak, pamiętam. Czarownik włada takim cholerstwem…”

Bragg ujął ciężki topów w lewą rękę, a prawą sięgnął do pasa, przy którym wisiał worek z *feherstaub* – Ognistym Pyłem. Dotknął mieszka z czułością i uśmiechnął się. Przypomniał sobie, jak długo przekonywał Jeremiasza Galbo, że krasnoludzki specyfik może się w końcu przydać i że warto skupować go przez ostatni tydzień, gdzie tylko się dało. Przydał się na podwórcu i resztka, która mu pozostała, teraz będzie jak znalazł.

Odszukał wzrokiem Władcę Kamieni. Magik ostrożnie poruszał się w okolicy wejścia do komnaty czarownika. Dotykał kamiennych ścian i szeptał pod nosem niezrozumiałe słowa. Wyraźnie przygotowywał się do ataku.

„Idealnie”. Krasnolud nienawidził czekać. Zwłaszcza gdy wyczuwał zew walki. A teraz czuł zapach krwi i słyszał zbliżający się brzęk ostrza o ostrze, a może bardziej chrzęst ostrza o kość i ciało.

Okazało się, że tym razem się nie doczeka. Mag zamrugał oczami i bezgłośnie poruszył wargami, po czym podbiegł szybko do krasnoluda.

– Bądź czujny i gotuj się na uderzenie w każdej chwili – szepnął Władca Kamieni, nachylając się do ucha Ziggo Bragga. – Ale panna Elbaz poleciła nam czekać. Od tego zależy los dziecka. I uprzedzając twoje kolejne pytanie: nie mam pojęcia, jak długo to potrwa.

Wyjątkowo, w tej właśnie chwili, choć świat zapewne trwał w wyczekiwaniu, krasnolud postanowił nie zaszczycić go żadnym ze swoich barwnych przekleństw. Tylko skrzywił się i pokręcił głową.

***

– Psiamać! Będzie ze dwa kwadranse, jak nic. – Bragg wyglądał przez wąskie okno skierowane na zachód.

Widział większą część dziedzińca. Pełzająca nisko przy ziemi mgła mieszała się nań z kłębami dymu. Ognisty Pył mógł płonąć sporą ilość czasu, a pokryta nim ziemia potrafiła tlić się długie godziny. Krasnoludzki wzrok przebijał ciemność nocy i ukazywał zwęglone ciała południowych najemników. Kilku z nich – tych, którzy nie zginęli od razu – dobił strzelec-komediant. Strzały Koryntiasza zwanego Szramą sterczały z głów i szyi trupów.

„Przynajmniej na coś się przydał", pomyślał Bragg. I dorzucił na głos: – Kurewsko długo to trwa, śmiem zauważyć.

– Cóż poradzę – mruknął pod nosem Władca Kamieni, nie przestając zaklinać ścian. Majstrował przy nich nieprzerwanie od wielu minut. Szeptał i przykładał do nich dłonie.

– Jak to możliwe, że jeszcze nie jesteśmy w środku. – Krasnolud wymierzył ostrzem krótkiego toporka w dwuskrzydłowe wrota, spomiędzy których widać było pełzające dziwactwa przypominające pnącza lub powrozy. – Źle mi z tym...

Magik przerwał na moment swoje zajęcie i zbliżył się. Po chwili namysłu stwierdził:

– To złożona sprawa. Trudna do wyjaśnienia sytuacja. Jak idzie o te pnącza... – wycelował w nie palcem – ...to nie musisz się kłopotać. Nie sprawią nam trudności. Teraz, w tym momencie.

Bragg zmarszczył czoło, więc czarodziej kontynuował:

– Nie prowadzimy walki ze zwykłym przeciwnikiem. To osoba opętana, w inny sposób postrzegająca czas i przestrzeń. Dodatkowo mająca pośrednio władzę mentalną nad dzieckiem, które mamy ocalić. Ten wżerca, byt, który owładnął Gratią Popper, jest nieprzewidywalny. Panna Elbaz nigdy nie spotkała się z czymś podobnym, ale istnieje szansa na powodzenie. Z istotą połączony jest czarownik. Nasza czarodziejka próbuje przez ten cały czas dostać się do wnętrza jego świadomości. Tam szuka odpowiedzi, jak pokonać istotę i jak skutecznie i bezpiecznie zerwać nić łączącą ją z naszą dziewczynką. Zdolności naszej czarodziejki są niezwykłe, ale wymagają czasu. Liczy się precyzja i doskonałe planowanie. I zgranie wszystkich elementów, rzecz jasna...

– Dlatego czekamy. – Krasnolud splunął pod nogi i wyjrzał za okno.

– Cieszę się, że rozumiesz...

Bragg nadstawił ucha. Gdzieś nieopodal odezwał się dźwięk dzwonu, po chwili przyłączył się doń następny. Nie minęła chwila i jeszcze kolejny zabrzmiał z oddali. Na dodatek coś niepokojącego działo się przy bramie. Krasnolud skrzywił się i mruknął:

– Tyle, że czasu może nam braknąć. Bo ktoś, zdaje się, zdołał otworzyć furtę w bramie. I coraz więcej ludzi kręci się przy wejściu. A wszystkich nawet nasz uzdolniony bękarci łucznik nie zdoła wystrzelać.

Czarodziej podbiegł i wyjrzał przez okno.

– Hmm... Cóż, to istotna rzecz, ale i tak nie zmienia naszego głównego planu.

– I te dzwony, pośrodku nocy...

– Twój ognisty specyfik był widzialny i słyszalny. Nie dziw, że to, co się dzieje wewnątrz warowni, wzbudziło podejrzliwość. Nie sądzę jednak, aby mieszkający w okolicy biedacy stanowili dla nas zagrożenie. Jest ogień nocą, to i dzwony biją na ratunek...

Bragg wzruszył ramionami i pomaszerował wzdłuż korytarza, docierając do schodów. Zmarszczył czoło i przyjrzał się uważnie jednej ze ścian. Spomiędzy kamieni wysypywały się drobinki piasku. Chwilę później w szczelinach coś się poruszyło. Włosy zjeżyły się Braggowi na karku. Cofnął się kilka kroków i podszedł do maga. Chwycił go za rękaw obszernej szaty i bez słowa, kręcąc głową z niedowierzaniem, pociągnął za sobą.

– No i co to, kurwa, ma być?

Władca Ziemi nerwowo pokiwał głową.

– Jakoś mnie nie dziwi twój cholerny spokój – warknął krasnolud. – Może ten jeden raz dowiedziałbym się wszystkiego? Przewidujesz taką możliwość?

– Pnącza. Ta istota rozrasta się z ogromną szybkością – wyjaśnił czarodziej. – Wygląda na to, że przeciska się między kamieniami w ścianach. Oplata całą wieżę. Wysysa moc z dziewczynki, a teraz pewnie i z mości Ragnara...

– Jakżeż to? Czemu mówisz o rycerzu?

– Istota zamierza posiąść moc, umysł i jego ciało – szepnął czarodziej i ku zaskoczeniu krasnoluda dodał: – Ale to część planu. Dlatego musimy postępować powoli i bardzo dokładnie.

– Nic nie rozumiem, do stu demonów – mruknął Bragg.

– Byłoby łatwiej i wiedziałbyś...

– Tak, tak – krasnolud przerwał magikowi i dorzucił szyderczo: – Oczywistym jest, że gdybym pozwolił czarownicy na włażenie do mojej głowy, wiedziałbym i rozumiałbym wszystko.

Mag nie skomentował. Dotknął dłonią kamieni i odezwał się po chwili:

– Wieża przestanie istnieć tak czy inaczej. Rozpęta się piekło. Ale ocalejemy. Musisz mi po raz kolejny zaufać i zrobić dokładnie to, co ci powiem. Zdołasz?

– A jak, kurwa, myślisz? – Ziggo Bragg przekrzywił głowę i spojrzał na Władcę Kamieni. – My, krasnoludowie, mamy pod dostatkiem dwóch rzeczy. I to odróżnia nas od was, ludzi.

Czarodziej zrobił dziwną minę i spojrzał pytająco. Krępy wojownik uśmiechnął się pod nosem i rzekł:

– Honor nierozerwalnie połączony z odwagą to jedna z nich, ale ta druga i ważniejsza to cholerna wola przetrwania.

***

Zimny wiatr uderzał Koryntiasza w twarz, a z przodu łopotały czarne szaty służącego czarnoksiężników, który kierował latającą bestią. Zataczali szerokie kręgi dookoła wieży. Pozostałe dwa Nocne Skrzydła podążały za nimi. Poniżej tłuszcza zgromadziła się w bramie, jakby obawiając się wejść na dziedziniec. Łucznik wpatrywał się uważnie w tłum, szukając ewentualnych strzelców. Jednocześnie słuchał umysłowych komunikatów czarodziejki.

Wynikało z nich, że ryzyko akcji prowadzonej wewnątrz baszty jest duże. Nordyjski szlachcic był unieruchomiony, zdany na łaskę plugawej istoty – wżercy. Mała Popperówna też była w jakiś sposób uzależniona od tajemniczego bytu. Przerażający twór kontrolował umysły, także ten należący do czarownika. Niyah Elbaz próbowała pokonać jego barierę umysłową, zanim szaleniec zdoła usidlić rycerza. Krasnolud i Paulus czekali na sygnał do ataku. Liczyły się precyzja i czas.

Szrama nigdy nie miał problemu z cierpliwością. Mógł godzinami czekać w zasadzce lub na czatach. Potrafił się dostosować. Niepewność zbliżających się chwil była mu obca. Dlatego nagłą wiadomość od czarodziejki przyjął bez emocji.

„Teraz. Celne oko. Pewne dłonie".

Lewą dłoń zacisnął na łuku, palcami prawej przesunął po lotkach szaropiórej strzały. Mógł się tylko obawiać o stabilność istoty, na grzbiecie której siedział. Jedna rzecz, ważna, ale możliwa do skorygowania.

„Teraz".

Wieża zwana Psią Basztą zaczęła się rozpadać. Najpierw zadrżała, a jej wschodnia ściana eksplodowała odłamkami kamieni, chmurą piasku i pyłu. Jakby niewidzialna siła wypchnęła budulec na zewnątrz.

„Paulus, Władca Ziemi". Wewnątrz świadomości Koryntiasza drwiny związane z talentami postawnego maga jakoś dziwnie szybko przemieniły się w szacunek, a może strach, gdy łucznik zdał sobie sprawę z czarodziejskiej potęgi.

Górna część, dwa lub może trzy piętra, przechyliła się na wschód i zaraz po tym reszta ścian zmieniła się w niezwykły wirujący kamieniami chaos. Pomiędzy unoszonymi magiczną mocą odłamkami widać było kawałki przedziwnych wijących się łodyg. Rozerwały się w jednej chwili, uprzednio zapewne mocno wpijając się w ściany budowli.

Połowa wieży uderzyła w mur okalający ogród, a całe podwórze zasypały odłamki i resztki upiornych roślin. Kondygnacja stanowiąca teraz szczyt wieży była miejscem szybkiej i doskonale zaplanowanej akcji.

W dwóch punktach eksplodował krasnoludzki Ognisty Proszek, spopielając kłębowiska pnączy. Ziggo Bragg biegł przed siebie, tnąc ogromnym toporem drgające i pełzające po posadzce łodygi. Paulus Brega używał swojej mocy i za pomocą wirujących z ogromną prędkością kamiennych płyt wyrwanych z podłogi ochraniał krasnoluda, przy okazji niszcząc większe skupiska wżercy.

Ragnar ze Svero owinięty przez swoistego rodzaju kokon wyglądał przerażająco, blady i nieprzytomny, jakby w transie. Ale w tym właśnie momencie Niyah Elbaz widocznie wykorzystała swoją moc, bo rycerz ocknął się od razu, próbując się oswobodzić. Szrama cały czas wyłapywał strzępki myśli czarodziejki, która w skupieniu atakowała szalonego czarownika umysłowo i dodatkowo cięła kolczaste pnącza mieczem. Koryntiasz dostrzegł charakterystyczny kształt ostrza. I brak jelca.

„Shaeidański oręż".

Dziewczynka, Gratia Popper skuliła się kilka kroków dalej, z głową spuszczoną do przodu. Ubrana w powłóczystą szatę wyglądała podobnie jak jeszcze chwilę temu Ragnar – na odrętwiałą i pozbawioną świadomości.

W centrum dawnej komnaty teraz pozbawionej ścian Szrama zobaczył klęczącego i wyjącego z bólu mężczyznę. Twarz czarownika była całkowicie zniszczona, jakby poszarpana przez zwierzę. Korpus pozbawiony był skóry, a po całym ciele pełzały powrozy.

„Mój cel".

Koryntiasz, syn Liviasza, przez przyjaciół nazywany Szramą, wstrzymał oddech, wziął poprawkę na wiatr i ruch skrzydlatej bestii, po czym wypuścił strzałę. Dokładnie w momencie, w którym czarodziejka blokowała umysł oszalałego mężczyzny, grot trafił go w oczodół i dotarł do mózgu, błyskawicznie zabijając.

Szrama czekał i naliczył trzy uderzenia serca, nim usłyszał wewnątrz swojej czaszki głos: „Udało się. Nie wierzyłam do końca, ale, na Otchłań, udało się nam".

VII – To, co dobrze się kończy…

W ciągu jednej chwili, no może trzech, krasnoludzki najemnik znalazł się na szczycie wieży. Albo raczej piętro, na którym znajdował się Ziggo Bragg, stało się owym szczytem. Sufit, górne kondygnacje i ściany przestały istnieć, a wiatr kąsał wściekle.

„No, w mordę! Robi wrażenie…", zdumiał się krasnolud. „Jebana magia…"

Nie musieli kończyć roboty. W momencie, gdy strzała wesołka trafiła szalonego czarownika, wijące się uprzednio pędy upiornej rośliny jakby obumarły. Przestały się poruszać. Dla pewności Bragg podbiegł do najgrubszego korzenia i przeciął go kilkoma uderzeniami topora. W tym czasie jedna ze skrzydlatych pokrak zbliżyła się do wieży i spróbowała wylądować na gruzowisku. Czarodziejka uwalniała rycerza z krępujących go więzów, a Władca Kamieni trzymał na rękach dziewczynkę.

„Wszystko, pewnikiem, zgodnie z planem".

Krasnolud podbiegł do czarodziejki. Wskazując dziecko krzyknął:

– Magik mówił, że dziewczynka jest zakażona, czy coś…

– Nie teraz – warknęła zniecierpliwiona. – Jeśli już musisz wiedzieć, to udało nam się. Zablokowałam umysł czarownika i świadomość tej istoty. Mała jest bezpieczna.

– A płowowłosy?

Skrzywiła się i wzniosła wzrok w górę.

– A żeby cię. Jesteś wcieleniem troski o innych czy zwyczajnie zżera cię ciekawość? Jeśli nie zauważyłeś, to wiedz, że mamy mało czasu.

Popatrzył na nią srogo, ale powstrzymał się od odpowiedzi.

Bestia wioząca Szramę przeleciała obok baszty i zatoczyła koło nad bramą. Spomiędzy otwartych wrót na podwórze wlał się tłum biedoty. Krzyczeli coś i biegli przed siebie. Nieliczni trzymali pochodnie.

Czarodziejka podtrzymywała rycerza, który szedł niepewnie, potykając się. Władca Kamieni zbliżył się do nich, niosąc dziewczynkę. Starał się przekrzyczeć wiatr:

– Wiem jak miało być, ale szlachcic chyba sam potrzebuje pomocy.

Nord ożywił się i błysnął oczami.

– Weźmiemy ją – wychrypiał i, patrząc uważnie na twarz czarodziejki, dorzucił. – Tak, jestem pewien.

Ruszyli we troje do stwora, który przycupnął na rogu zrujnowanej wieży i łopotał skórzastymi skrzydłami. Krasnolud ruszył w ślad za nimi. Kiedy magik wsadzał dziewczynkę do głębokiego siodła przypominającego obszerny kosz, czarodziejka zamknęła oczy, pokręciła głową, skrzywiła się i zaklęła.

A potem odwróciła się i wskazała dłonią nad główną bramę.

Bestia, której dosiadał pół-shaeidański bękart, wykonywała przedziwne akrobacje w powietrzu, kręcąc się dookoła własnej osi. Szrama trzymał się kurczowo skórzanego siodła, a chudzielec, wcześniej sterujący potworem, właśnie z niego spadał. Bragg mógłby przysiąc, że w jego ciele utkwiło kilka bełtów i strzał.

Władca Kamieni poprawił ułożenie dziewczynki w siodle, podbiegł do krawędzi baszty i wyciągnął przed siebie dłonie. Czarodziejka krzyknęła coś gardłowo w nieznanej krasnoludowi mowie. Nordyjski szlachcic dopadł do magika i szarpnął go za ramię.

– Nie zabijaj ich! Ci biedacy niczemu nie są winni!

Niska wieża wznosząca się nad bramą zaczęła drżeć, jakby miała się zaraz zawalić, grzebiąc tłum poniżej. Ale drganie ustąpiło. Mag spojrzał na rycerza.

Czarodziejka opuściła głowę i bezradnie nią pokręciła. W jednym momencie skrzydlaty stwór przestał istnieć, co oznaczało, że człowiek kontrolujący zaklęcie zginął. W miejscu, w którym bestia znajdowała się wcześniej, unosiły się teraz kłęby smoliście czarnej, nadnaturalnej mgły. Jakieś dziwne przedmioty, kilka łańcuchów, kawałki zwierzęcych skór, wnętrzności lub cos podobnego leciały na ziemię, wprost w tłum.

Pośród tego, machając kończynami, spadał łucznik-wesołek Koryntiasz zwany Szramą.

***

Nie widzieli samego momentu, gdy łucznik uderzył o ziemię. Paulus łudził się, że może spadł na czyjeś plecy, co złagodziłoby upadek. Niestety zachowanie tłuszczy złożonej z biedaków w poszarpanych strojach nie wróżyło niczego dobrego.

Ciżba była wściekła, nie zamierzała ratować. Pragnęła krwi. Niyah Elbaz odczytywała ich nastawienie za pomocą swoich zdolności i na bieżąco informowała towarzyszy.

Krasnolud zawył, wpatrując się w ciemny, kłębiący się tłum:

– Do kurwy nędzy, zróbmy coś!

Paulus zmarszczył brwi. Ziggo Bragg nie przepadał za Koryntiaszem Szramą, ale to, co spotkało strzelca, poruszyło nawet krępym wojownikiem.

„Nic się nie da zrobić”.

Drugi wywołaniec krążył nad zniszczoną wieżą, a sterujący nim sługa czarnoksiężnika pochylał się w siodle. W powietrzu zaroiło się od strzał. Na szczęście łuczników było niewielu, kryli się na blankach muru tuż obok bramy i prawdopodobnie w tłumie.

– Krasnoludzie! – wrzasnął Paulus. – Bragg, do cholery! Wskakuj do siodła.

Istota, na której wcześniej przylecieli, wylądowała po drugiej stronie odsłoniętej kondygnacji, roztaczając wokół kłęby magicznej ciemności.

Ziggo Bragg zawarczał w głębi brody i wolno ruszył we wskazanym kierunku. Gdy sadowili się na grzbiecie bestii zbliżyła się do nich Niyah Elbaz. Tuliła Gratię Popper.

– Bierzcie ją – powiedziała szybko. – Od razu za wieżę, z dala od strzał. Potem prosto do zachodnich klifów. I do statku.

Krasnolud pokiwał głową. Paulus chwycił dziewczynkę i, sadzając ją przed sobą, krzyknął:

– Niebawem świt. Jeśli zabawicie tutaj zbyt długo, stracicie źródło transportu. Poza tym kto jak kto, ale ty zapewne wiesz, że już mu nie pomożecie.

Czarodziejka nie odpowiedziała.

„Rycerze, szlachta, honor. Niewiele znaczące bzdury".

Odwróciła się i pobiegła do swojego latającego stwora. Ragnar ze Svero siedział w siodle z mieczem w dłoni. Obok jego głowy właśnie przemknęły dwie strzały.

Paulus Brega zamknął oczy, gdy kierujący wywołańcem poderwał bestię do lotu. Mag skupił się i wyuczonym uprzednio sposobem przesłał myśl do czarodziejki:

„Czemu to robisz? On, nordyjski rycerz, przyjmijmy, że rozumiem, ale ty?".

Cisza.

„Więc powiedz mi chociaż, czy strzelec żyje?".

„Jest bliski śmierci", usłyszał wewnątrz swojej głowy.

***

Spadli na gromadę biedaków, szybując na skrzydłach Mroku. Dosłownie. Przywołaniec tłukł skórzastymi skrzydłami i roztrącał nieszczęśników, którzy znaleźli się w jego zasięgu. Ciżbę spowiły ciężkie opary magicznej ciemności, która unosiła się dookoła bestii.

– *Frikke Askush!* – Niyah Elbaz krzyczała, starając się nadać zaklęciu jak największy zasięg.

Tłum kłębiący się dookoła ciała Koryntiasza Szramy rozpierzchł się w przerażeniu. Niektórzy przewracali się w konwulsjach i chwytali za głowy. Większość piszczała lub krzyczała. Nawet kilku strzelców trzymających łuki lub kusze, zajmujących pozycje na murze jakieś dwadzieścia kroków dalej, znalazło się w sferze działania czarnoksięskiej magii. Porzucali broń i ratowali się ucieczką.

Ragnar zeskoczył z siodła i przedarł się pomiędzy biedakami, tłukąc głownią i jelcem albo rozdając razy płazem miecza. Dopadł do konającego i ukląkł obok niego.

Czarodziejka podeszła w ślad za rycerzem. Przyjrzała się rannemu.

Pół-shaeid wyglądał źle. Trudno było określić, które z ran spowodował upadek ze znacznej wysokości, a które zadał mu wściekły tłum. Ciało było zakrwawione, kończyny nienaturalnie wykręcone. Trudno było rozpoznać zmasakrowaną twarz. Jakimś cudem mężczyzna jeszcze żył, charcząc i plując krwawą śliną, próbował łapać powietrze.

Niyah bacznie obserwowała okolicę. Wydawało się, że ostatni uciekający przez bramę nędzarze nie stanowili zagrożenia. Jednocześnie czarodziejka zdawała sobie sprawę z faktu, że gdzieś tam pomiędzy biedakami mógł znajdować się Biały Pies. To jednak teraz nie miało najmniejszego znaczenia.

– Pani – dobiegł ją syczący głos czarnoksięskiego sługi siedzącego w siodle na grzbiecie bestii. – Spieszmy się. Światło dnia już blisko.

– Zawrzyj gębę – warknęła. – Zapłaciliśmy twoim panom za służbę. Za twoją służbę. Dużo wydaliśmy, bym nie musiała słuchać takich słów.

Spojrzała na twarz Koryntiasza. Cierpiał niesamowicie. Łapała strzępki jego myśli i rozumiała zamęt panujący wewnątrz jego głowy. Pochyliła się nad ramieniem Ragnara i szepnęła:

– Wypatrzył w ciżbie osobę mogącą być Białym Psem. Próbował go trafić i na moment nie myślał trzeźwo. Wtedy jeden z kuszników trafił kierującego Nocnymi Skrzydłami. Szrama próbował to naprawić, ale zdaje się, że było już za późno.

Rycerz położył dłonie na piersi umierającego. Lewą przeniósł na jego czoło, potem zasłonił jego oczy.

– Jest mu przykro… Choć nie wiem, czy to teraz istotne.

– Drań – zaczął Ragnar, a w jego głosie pobrzmiewała gorycz. – Francowaty drań.

– Czemu tak mówisz? – spytała zdziwiona.

– Odwagi mu nie brakowało, oko miał celne, ale nie sposób powiedzieć bym mógł na nim polegać. Był mi towarzyszem, lecz nie był ze mną szczery.

– Wasze zadawnione sprawy… – Pokiwała głową ze zrozumieniem.

Ciałem łucznika wstrząsnął gwałtowny dreszcz.

– Mogę to… – zaczęła, ale Ragnar przerwał jej gestem uniesionej, prawej dłoni.

– Nie. To moja rola.

Sięgnął do pasa, do długiego sztyletu ze zdobioną rękojeścią. Wtem niespodziewanie cofnął dłoń i przytknął ją ponownie do piersi Szramy.

Niyah poczuła nieznany rodzaj magii.

„Ragnarze?”.

Podejrzewała, że Nord posiada pewne nadzwyczajne zdolności, co prowadziło do oczywistego wniosku – posiadał Źródło. Nie czyniło go to od razu magiem, lecz teraz to Źródło wyraźnie emanowało. Powiodła wzrokiem dookoła, odruchowo dotykając dłonią głowni umieszczonego na plecach miecza.

– Jeśli zapewnisz mi bezpieczeństwo i spokój przez dłuższy czas… – szlachcic mówił wolno. – Spróbuję… Cholera, może zdołam… Niech Przodkowie dodadzą mi sił…

– To szaleństwo! – krzyknęła i dodała spokojniej: – Tylko magia… silna Domena Życia i Uzdrawiania potrafiłaby…

Umilkła, odnajdując myśli Ragnara.

„Coś takiego… Uczeń druidów… Mości rycerzu, zaprawdę jesteś pełen tajemnic”.

Zastanawiała się przez chwilę a potem spojrzała na kierującego skrzydlatą bestią. Rozkazała:

– Będzie tak. Dopóki nie powiem „dosyć”, będziesz krążył w okolicach bramy i dookoła murów kasztelu. Każdy z napotkanych ludzi ma uciekać w popłochu, zadbaj o to. Nikt nie może zbliżyć się do dziedzińca.

– Niebawem świt – syknął odziany w czarne szaty.

Spojrzała na niego i, zamiast warknąć lub sięgnąć go mieczem, powiedziała spokojnie, wzruszając ramionami:

– Kiedy już nie będziesz mógł latać, po prostu wykonasz mój rozkaz na piechotę.

Nic nie odrzekł, tylko skinął głową i nakazał bestii wznieść się w powietrze, czemu towarzyszyły charakterystyczne dźwięki przypominające terkotanie i dzwonienie łańcuchami.

Tymczasem moc druidycznej Magii Uzdrawiania narastała.

***

„Więc to koniec? Szczęśliwe zakończenie, jak mawiają?”. Luther z Teranzy, większości znany jako Tertio, zaplótł ręce na piersiach i oparł plecy o jedną z kolumn, zamyślił się i powiódł wzrokiem po komnacie.

Izbę, w której Popperowie przyjmowali najznaczniejszych gości urządzono wykwintnie. Boczne ściany za rzędami kolumn pokryte były płaskorzeźbami przedstawiającymi sceny antyczne przywodzące na myśl czasy przed Drugim Spętaniem. W wielu miejscach umieszczono donice z bujną roślinnością. W suficie wycięto pokaźny, prostokątny otwór, przykryty grubym szkłem, dzięki czemu komnatę wypełniało światło. Wzdłuż kolumn ustawiono ławy wyścielone miękkim materiałem. Mogły na nich zasiąść ponad cztery tuziny gości. W południowej części sali znajdowało się podwyższenie, ze zdobionym, kamiennym stołem i kilkoma krzesłami – tam zwykle zasiadali Popperowie. Za miejscem przeznaczonym dla gospodarzy doskonale widać było ogród, bo całą południową ścianę tworzyły wrota, które otwierano w gorące dni, jak ten dzisiaj. Przestronna sala urzekała wystrojem, a woń licznie zapalonych kadzideł nie męczyła nozdrzy.

Spotkania w tej sali miały przypominać szlacheckie audiencje. Zwykle odbywały się tutaj długie, głośne i szeroko komentowane przez brać kupiecką zjazdy. Dziś jednak było zgoła inaczej: skromnie, szybko i dyskretnie, ale zarazem rzeczowo i konkretnie.

Klarus Popper siedzący na podwyższeniu powitał cztery osoby. Grupie przybyłych przewodził nordyjski szlachcic Ragnar ze Svero. Obok niego stanęli: uczony i mag Paulus Brega, krasnoludzki wojownik Ziggo Bragg oraz człowiek reprezentujący interesy drużyny, niejaki Jeremiasz Galbo.

Wszyscy powinni być zadowoleni, wszak chodziło o olbrzymią kwotę płaconą za sprawne wykonanie zadania. Jednakże na twarzach najemników próżno było szukać uśmiechów. Tertio przypomniał sobie, dlaczego tak jest. Pokiwał smutno głową:

„Fakt. Nie wszystko poszło sprawnie".

Gdy członkowie drużyny zajęli wskazane przez służących miejsca na ławach ustawionych blisko podwyższenia, Klarus, młodszy z braci Popperów, zabrał głos. Powitał gości i szybko przeszedł do sedna:

– W związku z zaistniałą sytuacją i ciężkim stanem jego córki, życzeniem mego brata jest, bym to ja zajął się sfinalizowaniem naszych interesów. Posiadam wszelakie pełnomocnictwa. – Mówiąc to, uniósł w dłoni pergamin ozdobiony pieczęcią. Nikt jednak nie zdecydował się na podejście i obejrzenie dokumentu, więc Klarus Popper kontynuował:

– Tak jak zostało ustalone, zapłatę za waszą pracę podzielono na dwie części. Trzy tysiące monet zamknęliśmy w szkatule. – Wskazał skrzynkę średnich rozmiarów, stojącą na specjalnie przygotowanym kamiennym podeście. – Pozostałe pięć w postaci listów bankowych umieściłem w tym futerale. – Położył dłoń na płaskiej, skórzanej torbie leżącej obok na stole.

Tertio przyjrzał się najemnikom. Rycerz westchnął i opuścił wzrok, krasnolud mruknął coś do siebie w głębi brody, a oblicze czarodzieja nie wyrażało żadnych emocji. Przez twarz Galbo przemknął jakby cień uśmiechu, a potem i jego oblicze stało się nieprzeniknione.

– Wdzięczność mojego brata, tak jak i moja własna, nie znają granic – kontynuował gospodarz.

Tertio uśmiechnął się w duchu. „Ale pieniądz to pieniądz i Popperowie nie wręczają premii".

– Jeślibyście kiedykolwiek potrzebowali dowolnego wsparcia, zwłaszcza w sprawach najbliższych naszej profesji, bez wahania mówcie. Nasza rodzina, w każdym zakątku Cesarstwa a także poza jego granicami, będzie wam przychylna.

Galbo pokiwał głową z uznaniem.

– Ze zrozumiałych przyczyn nie będziemy rozgłaszać waszego bohaterstwa, tak jak i szczegóły samej misji pozostaną tajemnicą – dodał Klarus. – Tak samo, ja ani Ersten nie wymagamy od was opowieści, jak udało się wam tego dokonać.

„A niech to… Ależ szkoda", jęknął w duchu Tertio. Żżerała go ciekawość. Słyszał tylko strzępki rozmowy braci Popperów prowadzonej wczorajszego ranka, tuż po powrocie najemnej drużyny. „Latające stwory, magia i ciężka, acz ponoć krótka, przeprawa z porywaczami. I statek, który przywiózł maga, krasnoluda i Gratię Popper, całą i zdrową, ale wycieńczoną i bardzo przerażoną". Luther z Teranzy nie tęsknił do nocnych eskapad, wolał służbę u boku kupieckich dostojników, chociaż tak po prawdzie to i ona czasami bywała niebezpieczna. Jednakże atmosfera tajemniczości i skąpe informacje na temat przebiegu

oswobodzenia córki Erstena Poppera pobudzały wyobraźnię nawet tak doświadczonego ochroniarza. „No szkoda…”

– Muszę zapytać, mając na uwadze całość sprawy, o los porywaczy. – Klarus zmarszczył brwi. – Jeśli jesteście w stanie wypowiedzieć się na ten temat.

Galbo popatrzył na Ragnara ze Svero. Szlachcic niechętnie zabrał głos:

– Wedle naszej wiedzy prawie wszyscy mieszkańcy zabudowań, w których przetrzymywano dziewczynkę zginęli. Unicestwiliśmy szaleńca pilnującego pannę Gratię i jego osobiste sługi.

– Niemożliwym jest zatem ustalenie, jak doszło do uprowadzenia?

Rycerz zamyślił się i odrzekł po chwili:

– Jeśli przyjąć, że osoba przetrzymująca dziecko, czyli ów szaleniec, była odpowiedzialna za porwanie, to rzeczywiście…

Klarus Popper pokiwał głową, a nordyjski szlachcic ponownie otworzył usta:

– Chyba, że idąc za słowami popularnego powiedzenia, będziemy szukać w innych miejscach. Szukać żmudnie i z otwartym umysłem.

– *Nimic vedea cand pastra laterna*[xxi] – dopowiedział niskim głosem Paulus Brega, potężny mag o łysej głowie. Mówił twardo, z wyraźnym akcentem Północnej Marchii.

Gospodarz spotkania wciągnął powietrze do płuc i odezwał się:

– Wiele bym oddał, by być pewnym, że każdy, kto wziął udział w skrzywdzeniu mojej ukochanej krewnej, zostanie ukarany. Jest jednak tak, że brat mój potrzebuje teraz wsparcia i pomocnej ręki…

– Chętnie byśmy dopomogli – rzekł Jeremiasz Galbo. – Wiesz jednak panie, że spieszno nam do własnych spraw. Znajdziesz z pewnością, gdy taka będzie wola twoja i twego brata, ludzi zdolnych przynieść ci odpowiednie wieści. I takich, którzy doprowadzą sprawę do końca.

– Ważne, kurwa że dziewczyna wróciła do domu – wycedził przez zaciśnięte zęby Ziggo Bragg. – Nieprawdaż?

Luther z Teranzy uniósł brew, lekko zaskoczony sposobem w jaki wypowiedział się krasnolud. „Doprawdy, tylko Spętani wiedzą, co siedzi w głowach tych skarlałych żołdaków”.

Klarus potakiwał.

– Tak, panie krasnoludzie. Dokładnie w tym rzecz. – Spojrzał na Galbo i dodał: – Co się zaś tyczy winnych i kary, zrobimy jak radzisz panie. Znajdziemy ludzi, którzy przyniosą nam odpowiedzi i zapewnienia. Kiedy tylko będzie na to najlepszy czas.

Następnie podniósł się z krzesła, obszedł stół i chwycił futerał z bankowymi dokumentami. Schodząc z podwyższenia, skinął w kierunku Tertio. Spotkanie zbliżało się ku końcowi. Ochroniarz otworzył drzwi w bocznej ścianie i wezwał służących.

Goście również podnieśli się ze swoich miejsc. Klarus Popper podszedł do nich i powiedział:

– Przyzwólcie mi na ten zaszczyt, iżbym uścisnął wasze prawice. Jeszcze nigdy, nie waham się tego powiedzieć, nikt nie uczynił dla mnie i mojej rodziny tak wiele, ile wy uczyniliście.

Dwaj służący pojawili się w izbie i podnieśli szkatułę wypełnioną złotem, podczas gdy kupiec rozpoczął osobiste dziękowania.

Luther z Teranzy, znany jako Tertio, nie był pewien, ale zdawać się mogło, że gdy na koniec Klarus Popper ściskał dłoń Ragnarowi ze Svero, nordyjski szlachcic szepnął mu do ucha coś istotnego. Brat Erstena Poppera zbladł na ułamek sekundy, skrzywił się i gwałtownie wyrwał dłoń z uścisku.

Ochroniarz rodziny Popperów zmrużył oczy i zamyślił się: „Silna, północna, barbarzyńska prawica czy jadowity, lodowy język? Hmm... Ciekawe...”

Chwilę później spotkanie zakończyło się.

VIII - Odpowiedzi

Głowa Jeremiasza Galbo odskoczyła po uderzeniu pięścią. Ragnar poprawił ciosem w brzuch, a kiedy trafiony zgiął się w pół, rycerz chwycił go za kark i pociągnął za sobą. Specjalista od negocjacji i załatwiania spraw jęczał i próbował łapać oddech.

– Złoto całkiem zasłoniło ci wzrok – sapnął nordyjski szlachcic. – A kłamstwo stało się twoim chlebem powszednim.

Powiódł Jeremiasza w kierunku półotwartych wrót, kopnął w nie z impetem, a gdy się otwarły, wepchnął mężczyznę do środka.

– Zastanawiałeś się, po co spotkaliśmy się w tym domostwie? – krzyknął. – To patrz!

Galbo podniósł głowę i siedząc na podłodze rozejrzał się dookoła. Jego wzrok padł na łoże ustawione pod ścianą i na człowieka leżącego nań, rannego, opatrzonego i oddychającego niespokojnie.

– Nie może być – wyrwało mu się. Ale poprawił się w momencie: – Koryntiaszu, na chwałę Trzynastu, żyw jesteś!

– A jednak może być – warknął Ragnar. – Choć wygodniej by było, zapewne iżby nie przeżył…

Jeremiasz Galbo wykrzywił twarz, prezentując zdziwienie i oburzenie.

– Co mówisz? Dlaczego mnie oskarżasz o takie myśli? – zapytał. – Jaki zły duch cię opętał? Pobiłeś mnie, straszyłeś i oszukiwałeś… Po cóż?

Rycerz był pewien: „Kłamliwy i zdradliwy robak. I jakże sprawny aktor…”

– Dałem ci szansę, szansę na wyznanie prawdy.

– Ależ, nie wiem, o co ci chodzi – jęknął Galbo. – Czemu nie powiedziałeś mi o tym, że Szrama żyje?

– Podarowałem ci sposobność na samodzielne wyznanie prawdy.

Jeremiasz otwarł usta, ale nie wydobył z nich żadnego dźwięku. Koryntiasz nazywany przez przyjaciół Szramą poruszył się w łożu.

– Mów! – Ragnar ze Svero stanął nad klęczącym mężczyzną i skierował ku niemu palec wskazujący. – Może będę w stanie to zrozumieć. Wiedz, że wszystko to, co wydarzyło się do dzisiejszego dnia, odcisnęło na mnie solidne piętno. Łaski we mnie pozostała zaledwie odrobina.

Po dłuższej chwili ciszy przerywanej jedynie cichymi jękami rannego Galbo przemówił:

– O pieniądze chodziło. Zawsze chodziło o pieniądze. – Opuścił głowę. – Drużynę do zadania na Kruczym Uroczysku najęła grupa magów. Miałem opracować plan i zebrać ludzi. Ale od początku, jakby jakiś demon psuł nam szyki. Najpierw szlag trafił wojownika, który z nami wyruszył z Konstanzy. Zwali go, zdaje się Borr. Sczezł z przypadkowych ran. Potem

czekaliśmy długo na niejakiego Lucjusza Flegela, ale co z nim, to wiesz, krasnolud wspominał, że połamali mu nogi na arenach Dragatusa. Potem dwaj najemni magowie okazali się nie do końca tym, za kogo się podawali. Miał być wykwalifikowany czarodziejski zespół, pojawił się czarodziej ze swoim uczniem.

Jeremiasz przerwał na moment i spojrzał na rycerza. Napotkał jego srogi wzrok, więc skulił się i kontynuował:

– Ciebie spotkaliśmy przypadkowo. Mieliśmy się wycofać lub czekać jeszcze jakiś czas, ale wydawało się, że uśmiechnął się do nas Vremes, więc ruszyliśmy…

– Co było celem misji? – przerwał mu Ragnar.

– Zdobycie kościanej różdżki, zwanej „Palcem… kogoś tam". Była bardzo cenna dla naszych mocodawców. Ale wszystko się zmieniło za sprawą chłopaka.

– Wszystko się zmieniło, o tak. – Szlachcic pokiwał głową. – Przeżyliśmy dzięki niemu.

– Wtedy zmieniło się również podejście Koryntiasza, zwłaszcza, że Drozd postanowił… – Galbo zająknął się, zamrugał oczami i zamilkł.

Nord nadal kiwał głową, a do tego uśmiechał się paskudnie.

– Dokończ mości Jeremiaszu. Opowiedz mi o Droździe. – Zmrużył oczy. – Cóż to za ptaszyna?

– Ja… Nie wiedziałem, że on postanowi ingerować. Tego nie było w planach. Miał się tylko przyglądać i wspomóc nas w razie problemów.

– Które, jak wiemy, wyniknęły.

– Na to wszystko nie miałem wpływu. Byłem jedynie pośrednikiem. Wierz mi, panie Ragnarze. Musisz mi uwierzyć – mówiąc to, Galbo spoglądał błagalnym wzrokiem.

– Co zamierzałeś zrobić? Chciałeś później nas okraść? Zabrać cholerną różdżkę i zanieść magom? A może chciałeś zmówić się ze swoimi wspólnikami i sprzedać chłopca?

– Nie…

– Jakoś ci nie ufam. I jakoś nie potrafię ci uwierzyć.

– O losie chłopaka nic nie wiedziałem, tak jak i nie wiem teraz. Co do różdżki, Koryntiasz był uparty. Chciał się z tobą rozmówić, jakoś to załagodzić.

Rycerz podszedł do łoża i spojrzał na łucznika kręcącego się niespokojnie w mokrych od potu kocach. Zamyślił się i powiedział cicho:

– Może Vremes do spółki z Protejusem zgotowali nieszczęśnikowi taki los. Może tak miało być? – Przeniósł wzrok na Jeremiasza. – Powinieneś nam powiedzieć.

Skruszony mężczyzna opuścił głowę na piersi, a Ragnar ze Svero dokończył:

– Złamanego srebrnika nie dostaniesz już ode mnie, od nas znaczy się. Pieniądze przeznaczymy na uratowanie Gaspara. Niewart jesteś także mojej pogardy. Nie chcę cię oglądać. Nigdy więcej. Idź precz! – mówiąc to, przysiadł na łożu rannego. – Miej jednak, choć

odrobinę honoru i pomóż nam. Powiedz mi wszystko, co wiesz o porywaczu, o człowieku którego nazwałeś Drozdem i o tych, którzy najęli jego i ciebie.

Jeremiasz Galbo westchnął i zaczął mówić.

***

– Zdecydowanie, niezwykły z was rycerz, mości Ragnarze – Niyah Elbaz uśmiechnęła się, wchodząc do komnaty. – Znałam kilku, ale żadnemu nie było po drodze z zielarstwem.

Przymknęła oczy i odetchnęła głęboko. W pokoju unosiła się przyjemna, kojąca woń. Ragnar ze Svero przysiadł na skraju łoża.

– Nie sądziłem, że dane mi będzie ich użyć. – Odwzajemnił uśmiech i wskazał dłonią niski stół. Stały na nim dwie misy wypełnione suchymi, pokruszonymi roślinami. – Trzymałem je przy sobie od dawna. Echo czasów, które przeminęły.

Czarodziejka podeszła bliżej i spojrzała na Koryntiasza śpiącego na łóżku. Na obliczu łucznika malował się spokój.

– Dokonałeś niemożliwego. Pobożni Cezaryjczycy nazwaliby to cudem. Albo i może herezją…

– Teraz wszystko zależy od niego. Musi walczyć – szepnął Ragnar. Popatrzył na Niyah i dodał: – Mało mnie interesuje, jak ktoś nazwie to, co uczyniłem.

Położyła mu dłoń na ramieniu.

– Nie zamierzam cię dręczyć. Przynoszę wieści, ale najpierw powiedz, co z Galbo? Jeśli chcesz, oczywiście…

– Nasze przedstawienie się udało. Znaczy się, Jeremiasz Galbo dowiódł, iż istotnie jest kłamliwym psem. Do końca zamierzał milczeć. Ale widok Szramy wstrząsnął nim. Nie wiem, o czym pomyślał, nie zamierzam się nad tym głowić. Ważne, że wyznał mi to, co chciałem wiedzieć.

– Galbo już nie jest częścią kompanii?

– Nigdy nie był jednym z nas, a teraz kazałem mu odejść.

– Więc ruszycie dalej?

– Tak – westchnął. – Magowie od wczoraj pracują nad zaklęciem.

Niyah zamyśliła się. Rycerz wstał, spojrzał na nią i potarł czoło.

– Co to za wieści?

– Na temat Popperów – zaczęła. W jej głosie pobrzmiewała nuta goryczy. – Źle się stało, że Klarus nie poniósł kary. Co więcej, zdaje się triumfować. Osiągnął swój cel.

– Co masz na myśli?

– Wygląda na to, że Ersten przekazał mu wszelkie pełnomocnictwa. Sam odsunął się w cień. Nie mogłam się dziś z nim spotkać.

Ragnar westchnął.

– Nie spotkasz go raczej, przynajmniej przez jakiś czas. Chyba że ruszysz za nim, na Północ.

– Uwielbiam szarady i wszelakie zagadki. – Zmrużyła oczy i lekko się uśmiechnęła. – Ale jesteś zapewne w stanie wyrazić się jaśniej…

– Wysłałem go w moje rodzinne strony. A właściwie, wysłałem ich, bo to o Gratię chodzi najbardziej. Ten przeklęty czarownik skrzywdził ją.

– Sługa Cierniomistrza.

– Więź z istotą została zerwana, ale pozostały pewne ślady, swoiste piętno. I żaden medyk tego nie uleczy. Wątpię, czy kiedykolwiek będzie całkowicie „wolna".

– Druidzi?

– Jeśli ktoś zdoła jej ulżyć – potaknął – to tylko oni. Ale to długotrwały proces. I na efekt działań leczniczych będzie trzeba czekać długo. Może i całe życie.

– Ersten dokonał wyboru. Wybrał miłość.

Szlachcic uważniej przyjrzał się twarzy czarodziejki. „Tęsknisz? Jakbyś i ty kiedyś musiała podjąć trudną decyzję. Nie. Jakby ktoś podjął ją za ciebie, pozbawiając cię tej możliwości". Nagle przypomniał sobie, że nadal posiada z nią umysłową więź. „Słyszałaś to?"

Nie doczekał się odpowiedzi.

– Co do brata i braterskich uczuć, to także stanowiło część wyboru – rzekł. – Nie potrafił skrzywdzić Klarusa. Prosił mnie także, bym w żaden sposób nie dochodził sprawiedliwości.

– Nie może być. – Pokręciła głową. – To okrutny drań. Bez serca. Teraz przewodzi rodzinnym interesom. Wygrał i ma to, czego chciał.

– Uszanujemy wolę Erstena Poppera – powiedział twardo Ragnar. – Gdy wczoraj rozmawiałem z Klarusem, dałem mu do zrozumienia, że musi mieć się na baczności. Że wiem, co zrobił i że jego zbrodnie nie pozostaną bez kary. Ale po tym, co rzekł mi starszy brat, ustąpiłem. I niech tak zostanie.

Wstał i spojrzał jej prosto w oczy.

– Jest jeszcze coś. I nie nalegam na odpowiedzi, ale może zechcesz o tym porozmawiać.

Czarodziejka odetchnęła.

– I tak zapytasz.

– Owszem.

– Więc pytaj.

– Stworzenie w sali Cierniomistrza? Cóż to za istota?

– Sługa i obrońca zarazem. Ktoś, kiedyś nadał mu imię: *Ympus*. I tak już zostało.

– Czy to coś to…

– Chcesz wiedzieć, czy jest to istota demoniczna? – przerwała mu. – Zwykli ludzie pewnie tak by go nazwali. Czy jest niebezpieczny? Owszem. Czy mam nad nim pełną władzę? Ufam, że tak. Jakkolwiek *Ympus* jest po naszej stronie, a to wszystko nie jest takie proste, jak mogłoby się wydawać.

– Gdybym postrzegał świat w dwóch barwach – mruknął – ścieżka losu nie przywiodłaby mnie tutaj, w to miejsce. Każdy dzień uczy mnie czegoś, a każda chwila to jakaś zmiana. Człowiek noszący biel na grzbiecie nie musi mieć jej w sercu, a ten, kogo spowija czerń, nie musi być wrogiem.

Przez chwile milczeli oboje. Aż w pewnym momencie Niyah zamknęła oczy, wspięła się na palce i objęła dłońmi twarz Ragnara. I pocałowała go delikatnie.

***

Ogromną, podziemną salę wypełniała aura silnej magii. Moc unosiła się w powietrzu, pulsowała mu w uszach. W ostatnich dniach, za sprawą nagłych i niespodziewanych wydarzeń Ragnar ze Svero był wyraźnie wyczulony na obecność czarów. Wyczuwał, prawie „widział", jak bracia Theallet formułują zaklęcie.

Zresztą po jakimś czasie rzeczywiście czar stał się „widzialny". Na środku okrągłego pomieszczenia zamajaczyły półprzeźroczyste ściany – czarodziejska forma połączenia dwóch miejsc. Ściany z chwili na chwilę stawały się bardziej realne. Jakby dwa światy przenikały się, a odległa cząstka jednego z nich pojawiała się w podziemnej komnacie, pośrodku dużego koła wymalowanego przez magów kreujących zaklęcie. Krąg ów otaczały runiczne znaki i magiczne figury naniesione żółtą farbą na kamiennej podłodze. W pięciu miejscach, wyznaczonych równomiernie dookoła kolistej granicy umieszczono masywne stojaki podtrzymujące duże kamienie o barwie krwi. To one były źródłem największej emanacji. Przy zaklęciu pracowało kilkunastu zakapturzonych ludzi, wśród których uwijało się trzech braci: szczupły i wysoki Tarun, niższy od niego Biyan i Rohit o masywnej sylwetce.

Biyan Theallet przewodził i wydawał polecenia. Po dwóch dniach przygotowań, magowie rozpoczęli najważniejszą fazę: „przywołanie miejsca docelowego, ustabilizowanie połączenia i zabezpieczenie go". Tak przynajmniej, używając fachowego nazewnictwa przedstawili to nordyjskiemu szlachcicowi.

Po kolejnych trzech godzinach z radością oznajmili, że trudne zadanie powiodło się.

– Panie rycerzu. – Wyszczerzył zęby Biyan. – Z całego serca bracia moi i ja sam, dziękujemy ci za ową sposobność, bo żmudna praca przy identyfikacji i rozpoznawaniu specyficznych cech przedmiotów dostarcza nam sporo złota, ale w niczym nie może się równać temu, czego właśnie dokonaliśmy. To dlatego zostaliśmy magami. Dlatego

poświęciliśmy tak wiele, by naginąć rzeczywistość do swoich celów i oddawać się obcowaniu z Domeną Esencji. To prawdziwa czarodziejska sztuka.

– Rad jestem, że poza pieniędzmi, które wam przekazaliśmy, także sama praca sprawiła wam przyjemność. I to sporą, wnosząc po tym, co mówisz – rzekł Ragnar.

– Owszem. Możecie przygotować się do drogi. Za kilka chwil będę w stanie określić dokładnie cechy miejsca, do którego prowadzi połączenie. A może i uda mi się wskazać, w której części kontynentu znajduje się owe.

Mag ruszył w kierunku jednego z czerwonych kamieni, a rycerz przyjrzał się temu, co znajdowało się wewnątrz magicznego koła.

Fragment dziwacznych zabudowań, plątanina korytarzy i ścian, przypominająca coś na kształt labiryntu tkwiła wewnątrz kręgu, jakby ktoś wyrwał ją z jednego miejsca i cisnął do podziemnej komnaty. „Może i tak właśnie się stało".

„Kiedy przekroczycie granicę kręgu, znajdziecie się po drugiej stronie". Ragnar przypomniał sobie słowa jednego z braci Theallet, gdy rozmawiali przed rozpoczęciem tworzenia zaklęcia. „To pomost. Coś jak tęcza z bajek opowiadanych dzieciom. Tyle, że realna".

Rycerz przeniósł swój wzrok w lewo. Tam szykowała się do drogi drużyna. Niezwykła grupa towarzyszy, których złączył z Ragnarem niezwykły cel.

Ziggo Bragg, krasnoludzki najemnik i prawdziwy żołdak z żelaza, prostolinijny i szczery, a zarazem wytrwały i na swój sposób honorowy.

„W stosunku do Gaspara, krępy wojownik zachowywał się jak starszy brat. Jeśli któremuś z moich kompanów prawdziwie ufam, to jest to właśnie Bragg".

Paulus Brega, czarodziej z Północnej Marchii, człowiek o posturze siłacza, przemawiający niskim głosem, Władca Ziemi o gładko ogolonej głowie. Niezwykle bystry, doskonale wyedukowany i wciąż tajemniczy.

„Gaspar jest jego utraconym uczniem i wychowankiem, czy czarodziejską zagadką, którą chce zbadać i wykorzystać do swoich celów?"

Niyah Elbaz, niespodziewana członkini drużyny, powabna kobieta pełna wewnętrznych sprzeczności. Z jednej strony silna i zdecydowana, a czasami nawet bezwzględna czarodziejka parająca się czarnoksięską mocą, z drugiej zagubiona i tęskniąca do światłości i uczuć, delikatna dziewczyna.

„Nigdy nawet nie spotkałaś młodego maga. Czy mogę wierzyć, że wyruszasz mu na ratunek, by ocalić w sobie samej cząstkę Dobra? Albo, choć wiem, że nie myślę trzeźwo, czy jest możliwym bym to ja był częściowo powodem twych działań?"

– Mam dobre wieści. – Ragnar zamrugał oczami i wyrwał się z zamyślenia, słysząc głos należący do maga. – Pomiędzy ścianami, w głębi kamiennego labiryntu znajduje się człowiek, którego szukacie. Ten, któremu magiczne wyładowanie oderwało ramię.

Rycerz pokiwał głową, a Biyan Theallet mówił dalej:

– Nie udało mi się niestety określić dokładnie, dokąd prowadzi pomost. Ale wiem, że to bardzo daleko stąd. Jest tam ciepło i sucho. I w pobliżu nie wykryłem śladów żadnej magii. Trudno mówić o bezpieczeństwie, w przypadku tak planowanej misji, ale zdaje się, że w miejscu, do którego idziecie, nie czyha na was zagrożenie.

– Dobrze to słyszeć. – Szlachcic uśmiechnął się lekko.

– Powtórzę, choć mam nadzieję, że dobrze zapamiętałeś zasady. Czar działa tak, że połączenie utrzymuje się około godziny dziennie, przez pięć dni z rzędu. Później, jeśli będzie to konieczne, co kilka dni postaram się ponawiać połączenie. Ale jeśli nie zdołacie wrócić, pomost przestanie istnieć.

– Pamiętam – rzekł twardo Ragnar ze Svero, spoglądając na maga. – Dziękuję wam. Dobrze się sprawiliście, mości czarodzieje. – Położył dłoń na ramieniu Biyana i zacisnął ją lekko.

Zaraz po tym odwrócił się i ruszył w kierunku kręgu.

Epilog – Ostrożniej...

Dimmu Spera[xxii], ogromna galera cesarskiego typu, wolno przesuwała się wzdłuż płaskich brzegów *Cimitiros*, rozbijając dziobem nieliczne fale. Noc była ciepła, a Wewnętrzne Morze spokojne.

W kajucie sporych rozmiarów urządzonej raczej ascetycznie zebrała się grupa mężczyzn. Kilku przycupnęło na bocznych ławach i spożywało posiłek, trzymając w dłoniach drewniane misy sporych rozmiarów. Pięciu zasiadło przy dużym stole w centralnej części pomieszczenia.

Casimir powiódł wzrokiem po twarzach. Czarnowłosy młodzieniec siedzący naprzeciwko i pijący ze szklanicy to Oriol Baix, sprytem i pomysłami przewyższający niejednego weterana szpiegowskiego rzemiosła. Nieprzychylni mu ludzie nazywali go ironicznie „największą nadzieją Straży Świątynnej" i z niecierpliwością czekali na każde jego potknięcie. Ten z prawej, prawie łysy w średnim wieku, koordynował pracę większości zespołów podległych Casimirowi. Pochodził z Pelissy i zwał się Villemar Aramas. Ale i tak mówiono o nim po prostu Miedziak. Dwaj z lewej strony byli najętymi przed dwoma miesiącami zabójcami magów.

– Więc nijak się owe sprawy nie łączą?

Miedziak mruknął:

– Zasadniczo, nijak. Magami dowodził Bernat An Xellar a finansował ich jeden z interesujących nas banków. – Umilkł i poprawił się: – Interesujących w innej, rzecz jasna sprawie. Do tego jeszcze wrócę, ale później, jeśli pozwolisz, panie.

Casimir skinął głową.

– Grupa zajmowała się zdobywaniem przedmiotów posiadających cechy magiczne i ich dalszym obrotem, oczywiście. Była dobrze zorganizowana, trudna w wyśledzeniu, słowem fachowo pomyślana.

Jeden z zabójców magów skrzywił się i spojrzał wymownie w sufit. Villemar dojrzał to i dodał:

– Oczywiście nic nie jest do końca idealnie pomyślane, i idealnie zabezpieczone. Nie, gdy do gry wkraczamy my i nam pomagający „biegli w sztuce".

– Sowicie opłacani, co należałoby dodać – stwierdził Casimir. – Piękne słówka wsadź sobie w rzyć, drogi Miedziaku, bo celu nie osiągnęliśmy.

Zadowolenie malujące się na twarzach zabójców czarodziei zniknęło. Villemar zmarszczył czoło i mówił dalej:

– Magowie nic nie wiedzieli na temat młodzieńca obdarzonego dziwną mocą i to rzecz pewna, bo potwierdzona przez naszych specjalistów od wyciągania prawdy na jaw. Celem

wyprawy na bagna Ringen było przejęcie pewnej magicznej różdżki, ostatecznie niedostarczonej jednak przez najemników.

– Czemuż to, skoro czarnoksiężnik został zlikwidowany? – zainteresował się Oriol.

– Kompania, którą wynajęli, nie zgłosiła się do magów po wykonaniu zadania – odparł Villemar.

– Ustaliliście dlaczego?

– Nie. – Pytany pokręcił głową. – Ale to chyba ma związek z działaniem tego wypatrywacza, Balthasara Mullenje.

– Ci z drużyny wiedzieli o istnieniu Mullenje? – Casimir zmrużył oczy.

– Ponoć, jak twierdzą magowie, tak choć nie wiadomo czy wszyscy. Wypatrywacz miał być dodatkowym zabezpieczeniem. Wiedzę o nim miał niejaki Galbo. Jeremiasz Galbo, pośrednik handlowy z Konstanzy, zajmujący się rekrutowaniem grup śmiałków. Kierował przygotowaniami.

– Tam na moczarach coś poszło nie do końca tak jak miało pójść. – Casimir zamyślił się i dodał: – Ale to nie jest istotne, zostawmy to. Ważne, żeby zebrać jak najwięcej informacji na temat chłopaka.

– To moja działka – odezwał się Oriol i uśmiechnął pod nosem. – Namierzyłem tego Galbo. Okazuje się, że działał niedawno w stolicy. I to z tą samą grupą, co na Pogórzu.

Casimir uniósł brwi.

– Co mieli do zrobienia?

– Pracowali dla rodziny Popperów, ale szczegóły nie są mi znane. Kupcy skrzętnie ukrywają swoje sprawy. Dowiem się więcej, jeśli trzeba.

– Tylko, jeśli przybliży nas to do rozwiązania problemu.

– Dobrze więc – przytaknął czarnowłosy – możemy przejąć Jeremiasza Galbo w każdej chwili.

– Czyń to, co powinieneś. – Casimir wykonał przyzwalający gest otwartą dłonią. – Masz moje pełne poparcie. A wam panowie – zwrócił się do zabójców magów – wielce dziękuję i oczekuję pomocy przy kolejnych sposobnościach. To wszystko.

Dwaj „biegli w sztuce" podziękowali skinieniem głowy i oddalili się od stołu. Podobnie postąpił Oriol z Baix. Casimir spojrzał pytająco na Villemara. Ten otworzył usta:

– Jeszcze dwie sprawy, panie. – Zrobił pauzę i kiedy otrzymał przyzwolenie kontynuował: – Król Żebraków, człowiek kontrolujący Kieszenie Nędzarzy przestał sobie radzić. Prawdopodobnie należy go zastąpić kimś bardziej przewidywalnym. Pobożności mu nie brakowało, ale dotarły do nas informacje, że stracił atut w rywalizacji z pozostałymi władcami biedoty. Szczegóły?

– Nie. Róbcie, co trzeba. Druga rzecz?

– To właściwie tylko informacja, acz wielce ciekawa z uwagi na to, o czym wspomniał Oriol. Kilka dni temu Ersten Popper zrzekł się przywództwa w gildiach należących do rodziny

Popperów, ustąpił na rzecz swojego młodszego brata Klarusa. Starszego z braci nie widziano publicznie od tego czasu, a nasi szeptacze donieśli, że nie ma go w mieście. Młodszego zaś, znaleziono martwego. Skrytobójczy atak, szczególnie okrutnie przeprowadzony. Nie wiadomo, kto przejmie władzę po Klarusie Popperze. To prowadzi do prostego wniosku. Trzeba będzie ponownie przemyśleć nasz sposób działania wobec kupieckich rodzin. Szczegóły?

– Nie. – Casimir zamyślił się i dodał: – Chociaż, ciekawi mnie, co rozumiesz poprzez „szczególnie okrutny"?

Villemar Aramas z Pelissy, zwany Miedziakiem uśmiechnął się delikatnie.

– Zabójca poharatał mu głowę, zadając głębokie rany. Użył także dziwnej substancji, która wyżarła Popperowi twarz. To było coś, co przypominało kwas.

– Cóż. Zaiste, okrutnie go potraktowano.

***

Casimir poprawił kaptur, kryjąc głowę przed wiatrem, który niespodziewanie zerwał się nad zatoką. Oparł dłonie na relingu i wpatrzył się w wodę.

„Teraz bardzo ostrożnie. O ile to możliwe, ostrożniej niż do tej pory".

Na moment przymknął powieki i przywołał w myślach słowa, ulubione zdanie Elama Granirosa: „Życie to zagadka, a świat wypełniony jest ciągami owych sekretów, które wzajemnie się przeplatają niczym ogniwa *Legari Lantis* – Łańcuchów Spętania".

Casimir westchnął. Ileż by dał, aby wrócić do tych młodzieńczych lat, gdy nie liczyły się tajemnice i spiski, bo zwyczajnie nie był świadom ich istnienia. Dziś zazdrościł każdemu spośród zwykłych obywateli Cesarstwa. Nie interesowało ich wszak, że każdego dnia znany im świat chylił się ku upadkowi, coraz to bardziej zbliżając się w kierunku Otchłani.

„Błogosławieni w spokoju, w swej nieświadomości", pomyślał o tych wszystkich głupcach.

Cóż, można było dosyć łatwo przeoczyć wagę faktu, iż czarnoksiężnicy skupieni we Wronim Bractwie przywiedli na południowe rubieże Cesarstwa, na tereny zwane Pogórzem, olbrzymie siły orków. I nadal nie było wiadomym, czy upadłym magom chodziło wyłącznie o przelewanie krwi niewinnych i przerażonych mieszkańców, czy też o bogactwo tych terenów i ich wpływ na gospodarkę najsilniejszego państwa na Kontynencie. Któż by się zastanawiał? Ot, kolejna wojna, następne ofiary i ogrom modłów lub też przekleństw kierowanych w stronę Trzynastu.

Prostaczków, ale i także ludzi pochodzących z wyższych stanów, mało obchodziło, jakie siły stały za zamachem na życie księcia Fievre[xxiii], następcy tronu królestwa Narbonu. Nie mogli przecież wiedzieć, ci niewtajemniczeni, że zabójca najprawdopodobniej pochodził

ze Stirru, domu rodzinnego jednego z górskich klanów Morlandu. Surowi mieszkańcy zachodniej części Żelaznych Gór od setek lat nie mogli pogodzić się ze swą podległością wobec Nez, stolicy Narbonu. Nienawidzili chwil, gdy musieli składać hołd tym leniwym głupcom, pyszałkowatym i wiecznie usztywnionym przez wierność rycerskim obyczajom. Narboński wywiad szybko wpadł na trop spisku i rozpoczął systematyczne zdobywanie niezbędnych dowodów. Bezsprzecznie na zachodzie zbierały się burzowe chmury zwiastujące wojnę.

Wspomniany wywiad, elitarni szeptacze i wypatrywacze króla Luciusza Merenge pozostawali sprzymierzeńcami Straży Świątynnej tak długo, jak władca Narbonu pozostawał w lennej zależności od cesarza. Ale pod miękkim i wytwornym płaszczykiem współpracy i przyjaźni dwie szpiegowskie organizacje prowadziły bezwzględną wojnę, walkę spod znaku ukrytego ostrza i niewidzialnej trucizny. Narbończycy, tak jak i inne pomniejsze wywiady na całym kontynencie, pragnęli przede wszystkim wydobyć na światło dzienne słynne Trzy Tajemnice Cesarskie, które wciąż pozostawały skryte jakby w półmroku cesarskiej sali koronacyjnej.

Obszerne kotary pokryte mistycznymi malowidłami zasłaniające okna owego pomieszczenia pojawiały się często w opowieściach i bajaniach wędrownych pieśniarzy i bardów. Niewielu ludzi spoza dworu miało sposobność przebywania w tej najważniejszej z komnat, jednym z tych szczęśliwców był Casimir. Legendy miały w sobie sporo prawdy. Co więcej, nie tylko sala koronacyjna wypełniona była specyficzną aurą mroku.

Pośród tych ciemności zalegających w sporej części pałacu toczyła się tajna, wewnętrzna walka o władzę i wpływy. Trzy rodziny, nazywane Cesarskimi Domami, spośród których wybierano kolejnych kandydatów na cesarzy, spiskowały przeciw sobie, przeciągając na swą stronę kapłanów, szpiegów i żołnierzy. Obecny władca Tabiusz, nazywany Zrodzonym z Krwią na Ustach[xxiv], szczęśliwie panujący dwudziesty czwarty rok, reprezentował Dom Stearre[xxv]. Ci nieliczni, dobrze zorientowani w dworskiej polityce wiedzieli doskonale, że na każde jego potknięcie czyha Dom Sekhel[xxvi], a trzeci z rodów, Soondage[xxvii] przygląda się uważnie rozwojowi wypadków. Wespół z możnymi śledzili te gry potężni i wpływowi kapłani oraz wodzowie legionów.

„Och jakże szczęśliwymi są ci pokorni ludzie niezadający pytań i szczerze wierzący w swoich opiekunów". Casimir pokręcił głową i westchnął. „Jeśli zabrać im sprzed oczu strach, pozostaną naiwnie radośni". Niestety, skryte zagrożenia i powody do obaw można by wymieniać w nieskończoność.

Shaeidańscy renegaci, tak odlegli w swych planach od uległych współbraci z Falas-Taur, najchętniej utopiliby ludzki ród w strumieniach krwi. Ich knowania miały czasem realne kształty i stanowiły spore zagrożenie dla istnienia Cesarstwa. Nie wspominając już o ogromnej rzeszy bękartów półkrwi, którzy nienawidzili zarówno swoich ludzkich jak i shaeidańskich korzeni. Idealni zabójcy, bez zasad i bez sumienia – kara zesłana przez

Patronów na ludzkość i zarazem na shaeidów. Wielu z nich pracowało rzecz jasna, gdy tylko zaszła taka potrzeba dla cesarskiego wywiadu.

Magowie. Przeklęci w czasie Trzeciego Spętania, ale dzisiaj nadal groźni lub – może bliższym prawdzie byłoby stwierdzenie – jeszcze bardziej niebezpieczni. Mędrcy wyczekujący na swój czas, na zemstę za stulecia poniżeń i pogromów. Mawia się, jakoby obecny cesarz zamierzał znieść akt wprowadzony przez Hostyriusza[xxviii] czterysta lat temu i że magia znów mogłaby być wolną nauką.

Ach, jakże szczęśliwym musiał być, słysząc nowiny z płynące z Cezarii, człowiek podający się za następnego Imperatora-Mędrca. Sudyjscy wyznawcy pradawnego kultu żywiołów obwieszczali wszem i wobec pojawienie się kolejnego z religijnych przywódców. Pod jego sztandary ściągali liczni żołnierze, kolejni pomniejsi władcy południa uznawali jego prymat. Także tam, daleko za Żelaznymi Górami zbierały się burzowe chmury.

Jaką rolę w tym wszystkim odgrywał Całun, tajna organizacja, której wpływy odnaleźć można było na całym Kontynencie? Wspierała shaeidańskich buntowników, handlowała i współpracowała z czarodziejami, z całą pewnością znała prawdziwy cel działania Corvusa N'Sorra z Afat, człowieka stojącego na czele Wroniego Bractwa. Czy Całun został powołany przez wolnych czarodziejów z Południa, pragnących ostatecznej zagłady Cesarstwa oraz zwycięstwa i dominacji sudyjskiego Imperatora-Mędrca? Czy też może uruchomiony został jakiś większy i o wiele bardziej niebezpieczny plan? Casimir wiedział, że dla Całunu pracuje Ismael Hyml, przebiegły, ale zarazem łasy na złoto i kosztowności mag, iluzjonista prowadzący w swej rezydencji w Pergatum przedziwne eksperymenty. Hyml badał zdolności kontrolowania czarodziejskiej Domeny Czasu, zakazanej Sztuki z pogranicza Magii Chaosu. Poszukiwał młodych ludzi, którzy mogliby stać się Patrzącymi – zdolnymi do ingerencji w Nić Czasu. Zgromadził już i zniewolił kilkunastu, ale wciąż szukał tego jedynego, którego określił, jako: „stabilnego Patrzącego".

„Niech chronią nas Spętani w Błogosławieństwie, jeśli Całun zdoła doprowadzić swój plan do końca". Przy całej trzeźwej ocenie sytuacji i cynicznemu spojrzeniu na świat, Casimir jakoś nie potrafił odrzucić od siebie naiwnej wiary w Patronów, zaszczepionej za młodu w świątynnej szkole. „Niech zezwolą mi na wszystkie bluźniercze czyny, których muszę dokonać, by uchronić, kogo tylko się da, przed skutkami owego planu". Nie łudził się, iż jest w stanie go powstrzymać, ale i nie zamierzał stać bezczynnie. „I niech przebaczą mi to, co już uczyniłem".

Straż Świątynna była najpotężniejszym z wywiadów, olbrzymią machiną szpiegowską, zdolną dokonać każdego nawet niewyobrażalnie skomplikowanego działania w dowolnym miejscu Kontynentu. Ale była zarazem straszliwie zepsuta i przeżarta korupcją. Casimir podjął decyzje. Każda z nich była nieodwracalna. Rozpoczął wojnę, w której nawet jego mentor – Elam Graniros, najpotężniejszy z cesarskich szpiegów, stał po drugiej stronie.

Z bólem serca, bo zawsze cierpiał, gdy musiał niszczyć własne dzieła, Casimir zlikwidował każdy element swojej szpiegowskiej siatki, który mógł połączyć go ze sprawą Ismaela Hymla i Patrzących. Ludzie, których sam przygotowywał przez kilka ostatnich lat musieli umrzeć, ci mniej wartościowi od Periosa w Pergatum, i ci ważniejsi tutaj, w Konstanzie, dowodzeni przez Ottona Holcinusa. Jedyni dwaj, którym pozwolił żyć, byli niezbędni w dalszej części planu. Ocaleli, ale usunął ich z widoku: zdolny Oriol z Baix, w którym Casimir widział siebie z młodzieńczych lat miał ruszyć właśnie potajemnie na Południe, zaś Miedziakowi polecił sfingować własną śmierć i całkowicie zejść do przestępczego podziemia w stolicy, by rozpocząć rekrutowanie zupełnie nowej siatki szeptaczy.

Tylko oni dwaj łączyli Casimira z Hymlem i tylko oni dwaj wiedzieli o Balthasarze Mullenje, zwanym Drozdem. W wyniku niezwykłych wydarzeń mężczyzna ów stał się jedną z istotnych części układanki, nad którą pracował Casimir. Kim był Drozd? I czy jego spotkanie z ludźmi Periosa w Pergatum było zrządzeniem losu, czy celowym działaniem? Ciężko okaleczony, rozpalony gorączką mężczyzna usilnie starał się przehandlować swój łup – pewnego chłopca rzekomo obdarzonego wielką mocą. Ze słów Mullenje wynikało, iż chłopiec ma na imię Gaspar i posiada zdolności podobne do młodych magów, których poszukiwał Ismael Hyml.

Casimir nie zamierzał zlekceważyć takiej informacji, ale pierwsza rozmowa, którą przeprowadził z więźniem w tajnej katowni, okazała się stratą czasu. Nic nie wskazywało na przydatność Balthasara Mullenje, wydawał się za to, iż jest on szaleńcem. A Vremes nie był łaskawym Patronem w tej akurat sprawie, Casimir miał na głowie masę spraw. Tymczasem więzień zapadł w dziwny stan, bliski obłędowi. Konał. Zajmujący się nim ludzie proponowali zakończenie jego cierpień i zamknięcie sprawy.

Ale coś kazało szpiegowi wrócić do okaleczonego. Zwłaszcza, że z katowni zaczęły docierać niepokojące nowiny. Wcześniej Drozd nie przejawiał żadnych magicznych zdolności, ale dwa tygodnie po jego umieszczeniu w podziemnym lokum wykryto tam emanację nieznanego czarodziejskiego źródła.

Tamtej nocy, gdy Casimir udał się na miejsce, sprawy przybrały nieoczekiwany obrót. Mullenje był nieprzytomny, ale gdy wyciągnięto go z celi okazało się, że oderwana wcześniej ręka w cudowny sposób powróciła na swoje miejsce. Po wszelkich obrażeniach nie było śladu. Nikt z pilnujących nie potrafił wyjaśnić, jaki i kiedy doszło do ozdrowienia. To jednak był dopiero początek. Drozda ocucono i próbowano przesłuchać. Casimir miał szczęście. Gdy doszło do magicznego wyładowania, przypadkowo oddalił się pod ścianę. Zalśniło żółtozielone światło. W jednej chwili zniknęła spora część pomieszczenia, dwóch ludzi i sam Balthasar Mullenje. Trzej pozostali, którzy byli wtedy w izbie, zostali dosłownie rozerwani na strzępy. Piwnica zawaliła się, a ciężko rannego Casimira wyciągnięto na zewnątrz po dłuższej chwili. Gdy po kilku dniach doszedł do siebie i odtworzył w swoim umyśle przebieg wydarzeń

tej dramatycznej nocy, zwrócił uwagę na dwie rzeczy: w chwili, w której doszło do eksplozji energii uleczone ramię Balthasara Mullenje zwanego Drozdem przybrało barwę hebanu, a na ciemnej skórze połyskiwały mistyczne tatuaże, zaś oblicze byłego więźnia ozdabiał uśmiech. Casimir dobrze zapamiętał wyraz jego twarzy, to połączenie zadowolenia i triumfu z nieskrywanym zaskoczeniem.

„Uzdrawianie i biegłość w kreowaniu magicznych przejść przy jednoczesnej umiejętności maskowania swojego Źródła? Niebywałe. Czyżby do rywalizacji przyłączył się kolejny z graczy?". Casimir podniósł wzrok i spojrzał na wschód. Znad Cer Soares zaczęła przebijać się pierwsza jasność poranka. „Robi się coraz ciekawiej. Teraz bardzo ostrożnie. O ile to możliwe, ostrożniej niż do tej pory".

[i] *Sążeń* – miara długości i głębokości, tradycyjnie, na terenie cesarstwa, to największa szerokość rozkrzyżowanych poziomo rąk.
[ii] *Mongrellski łuk* – odmiana długiego łuku, wyrabiana przez pół-orczych rzemieślników na Równinie Grunfelds, mongrellami nazywa się półkrwi orków z cesarskiej strony Żelaznych Gór.
[iii] *Negr* – powszechne określenie czarnoskórych mieszkańców południa Kontynentu.
[iv] *Surenejczycy* – dumny pustynny lud zamieszkujący południowo-zachodnie tereny Kontynentu, wywodzący swoje pochodzenie od królewskich Rodów Południa.
[v] Trzy tygodnie to jeden miesiąc według rachuby kalendarza cesarskiego, gdyż każdy tydzień ma dziesięć dni a każdy z trzynastu miesięcy liczy trzy tygodnie.
[vi] *Galben,* Jeden z Trzynastu, Złotodzierżca, bóstwo panteonu cesarskiego, opiekun i patron kupców i handlarzy.
[vii] *Roza (Singe),* Jedna z Trzynastu, bóstwo panteonu cesarskiego, opiekunka rodziny, patronka miłości.
[viii] *Vremes (Vremez),* Jeden z Trzynastu, jedno z wiodących bóstw panteonu cesarskiego, kojarzony ze sferą czasu, losu, jasnowidztwa.
[ix] *Trzynastu Spętanych w Błogosławieństwie*, wg legend i mitów Cesarstwa, pierwszy cesarz pokonał i zmusił do służby trzynaście potężnych boskich istot, które zostały patronami i opiekunami imperium, obecnie tworzą panteon cesarski.
[x] *Vant*, Jeden z Trzynastu, Pan Przestworzy, jedno z mniej ważnych bóstw panteonu cesarskiego, czczony bardzo często wespół z Bluiusem (Navalesem), Panem Mórz.
[xi] *Łokieć* – miara długości, tradycyjnie, na terenie cesarstwa, to odległość mierzona od końcu średniego palca do pachy.
[xii] *Piasir (sir de piatra)*, łańcuch złożony z trzynastu kolorowych kamieni, używany w trakcie modłów, przez większość kapłanów Zakonu Trzynastu Kamieni, wyobraża mistyczny Łańcuch Spętania.
[xiii] *Cranius*, Jeden z Trzynastu, bóstwo panteonu cesarskiego, Pan Dobrej Śmierci, patron grabarzy.
[xiv] *Straż Świątynna*, oficjalna nazwa bractwa zakonnego, powszechnie wiadomo, iż pełni ono służbę wywiadowczą dla Cesarstwa.
[xv] *Mar*, Jeden z Trzynastu, Pan Urodzaju, plebejskie bóstwo panteonu cesarskiego, opiekun rolników, patron zbiorów.
[xvi] *Dekurion (dziesiętnik)* – powszechne na terenach cesarskich określenie dowódcy małego oddziału piechoty lub jazdy liczącego około dziesięciu żołnierzy.
[xvii] *Setnik* - powszechne na terenach cesarskich określenie dowódcy oddziału piechoty lub jazdy liczącego około stu żołnierzy.
[xviii] *Este vremes, meste cesari* – tradycyjne, popularne na ziemiach Kontynentu przysłowie w języku cezaryjskim, tłumaczone jako: „Takie czasy, jaki cesarz".
[xix] *Eisen Taar*, nazwa jednej z krasnoludzkich twierdz w Żelaznych Górach, w języku wspólnym: Żelazna Brama.
[xx] *Wżerca, Semviyoz* (mowa Lothanu) – określenie używane przez czarodziejów, oznacza istotę przejmującą kontrolę nad umysłem (czasami także ciałem) ofiary, wchodząc z nią w swoisty rodzaj współistnienia.
[xxi] *„Nimic vedea cand pastra laterna" (ces.)* - popularne na ziemiach Kontynentu przysłowie w języku cezaryjskim, tłumaczone, jako: "Niewiele widzisz, gdy trzymasz pochodnię".
[xxii] *Dimmu Spera, (ces.) Nadzieja o Poranku* – antyczne wyrażenie w języku staro-cezaryjskim.
[xxiii] *Książę Fievre*, tytuł noszony tradycyjnie przez następcę tronu królestwa Narbonu.
[xxiv] *Tabiusz Sangrospiros*, cesarz reprezentujący Dom Stearre, jego przydomki (Zrodzony z Krwią na Ustach lub Oddychający Krwią) związane są z jego dziecięcymi chorobami.
[xxv] *Dom Stearre*, ród cesarski używający znaku gwiazdy i patronatu Jednej z Trzynastu o imieniu Stea.
[xxvi] *Dom Sekhel,* ród cesarski używający znaku półksiężyca i patronatu Jednej z Trzynastu o imieniu Semiluna.
[xxvii] *Dom Soondage*, ród cesarski używający znaku tarczy słonecznej i patronatu Jednego z Trzynastu o imieniu Soares.
[xxviii] *Hostyriusz Aionikitoris*, cesarz, rządził w latach 3613-3722 (datacja wg *Zwojów Vremesa*), legendarny władca, który dokonał Trzeciego Spętania podczas bitwy pod Pergatum (rok 3620), autor *Vraitorie Vesnic Interzis*, aktu zakazującego na zawsze praktykowania Magii na Kontynencie (w istocie tylko na terenie Cesarstwa).